WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 52 (378) 29 grudnia 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Choinka i kult drzew

Relikt antycznego mitu

Jak kraj długi i szeroki, jak długa i szeroka Europa, by ograniczyć się tylko do tej części świata na przełomie roku w domach prywatnych i sklepach, w teatrach i na publicznych placach, za szybami magazynów jawi się zielony symbol tego okresu: choinka, drzewko.

Jeśli sięgnąć do genezy „drzewka", to stwierdzić trzeba, że iglasta, zielona choinka, przysypana imitacją śniegu, obwieszona cackami, kolorowymi łańcuchami i „anielskim włosem", jest reliktem starego, pogańskiego kultu drzew, rozpowszechnionego do dziś w różnych odległych od siebie rejonach świata. Pójdźmy więc śladem tego obyczaju.

„Dur-an-ki"

U starożytnych Germanów kult drzewa znalazł najpełniejszy wyraz w koncepcji wszechświata, wspartego na pniu wiecznie zielonego jesionu, zwanego Yggdrassil. Jego wierzchołek wspierał niebo. Korzenie boskiego drzewa sięgały w głąb trzech światów: świata bogów, olbrzymów i ludzi, a jego konary dawały schronienie licznym gatunkom stworzeń. U jego stóp biły cudowne źródła, m. in krynica młodości i wiedzy

Podobny, znacznie starszy koncept świętego drzewa wszechświata posiadali Sumerowie, którzy zwali je „Dur-an-ki", czyli Drzewem Sięgającym Niebios. Przypomnijmy, że i w biblijnych rajskich ogrodach znajdujemy drzewo „dobrego i złego".

Święte drzewa

Idea świętego drzewa i wywodzący się z niej kult charakterystyczny jest nie tylko dla ludów pochodzenia sumeryjskiego, czy germańskiego. Bogiem drzew i duchem drzew jest np. zarówno egipski Ozyrys jak i grecki Dionizos. Jeden ze świętych przybytków bogini księżyca i łowów, Diany, mieścił się w gaju, w Nemi. Zeusa w Dodonie i Jowisza w Rzymie utożsamiano ze świętym dębem, przed którym składano ofiary. Dąb, drzewo szczególnie ściągające pioruny, czczony był zarówno przez Słowian, Litwinów, jak i przez Germanów. Na forum w Rzymie czczono figowiec Romulusa a na stokach Wzgórza Paltyńskiego — święty dereń. Głowy zwycięzców wieńczono dębowym lub laurowym wieńcem...

Na wyspie Kos, w świątyni Asklepiosa za ścięcie drzewa w sakralnym gaju groziła kara tysiąca drachm.

Kto rządzi pogodą

Słowianie i Litwini czcili święte gaje i dąbrowy oraz leśne uroczyska. Gdy misjonarz Hieronim z Pragi namawiał Litwinów do wycięcia świętego gaju, spotkał się z żarliwą opozycją. Błagano księcia, by do tego nie dopuścił, gdyż obrażeni bogowie w odwet wstrzymają deszcze.

Wiara w to, że drzewa, zwłaszcza stare i duże, zamieszkałe są przez duchy rządzące pogodą, zakorzeniona jest po dzień dzisiejszy wśród licznych ludów. W Indiach czci się drzewo pippala aswatha (pippal — Fiscus religiosa) i jego kult przeniknął z hinduizmu do buddyzmu. Szczególnej czci zażywa również drzewo bananowe.

Szczep Maundarów z Assamu uważa, że ścięcie drzewa w świętym gaju obraża bóstwa, które wstrzymują deszcz. W Birmie natomiast mieszkańcy, wybrawszy największy tamaryszek w pobliżu wsi, składają pod nim ofiary z chleba, owoców i ptactwa.

W Szwecji, w niektórych wsiach chłopi wtykają gałęzie drzew w bruzdy obsiane zbożem, by przyniosły dobry plon. Podobna tradycja leży u podstaw dożynkowej wiechy. Majenie domów i chodzenie po wsi z tzw. maikiem to również jedna z pozostałości starych wierzeń.

U Słowian i Germanów wiece i sądy sprawowano w cieniu rozłożystych dębów i lip. Nawet architektura zachowała ślady świętego ongiś pnia w postaci kolumny.

Po dzień dzisiejszy drwale w różnych częściach świata przed ścięciem drzewa proszą je o przebaczenie lub dokonują obrzędu zabezpieczającego przed gniewem ducha tego drzewa.

Rejestr obyczajów związanych z tradycją kultu drzew jest znacznie dłuższy, ale i tych kilkanaście przykładów wystarczy, by zielona choinka wprowadzana pod dach w okresie świątecznym przypomniała nam antyczne wierzenia, z których się wywodzi. Jej zieleń przypomina o słońcu i wiośnie, a jej zapach kojarzy się ze świeżością boru.

J. R.

Ryszard Dzieszyński

SANOCKIE ZAUŁKI LEONA GETZA

W 1925 r. do Sanoka przyjechał młody absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, uczeń prof. Ludwika Dębickiego — Leon Getz, który otrzymał posadę nauczyciela rysunków w miejscowym gimnazjum. Przez okrągły rok szkolny zajmował się wyłącznie pracą pedagogiczną. Wkrótce objął również posadę nauczyciela w seminarium żeńskim. I byłby może Leon Getz pozostał nauczycielem gimnazjalnym, gdyby nie fakt, że miał ambicje artystyczne. Natura ciągnie wilka do lasu. Getz nie mógł spokojnie patrzeć na krajobraz otaczający miasto na wzgórzach. Urzekał go wijący się szeroką wstęgą San, falujące zbożem zbocza gór, zielone ściany lasu.

Od 1926 r. Leon Getz zaczął malować. W owym czasie był pierwszym i jedynym malarzem w Sanoku. Stanowił sensację dla całego miasta. Ustawiał sztalugi na rynku albo na rogach ulic i siadał na malutkim stołeczku. Wokół gromadzili się ludzie, przypatrując się i podziwiając. Artysta malował nie tylko okoliczne wzgórza, interesowała go również architektura miasta. Zapatrzony w malowane obiekty, ciągnął pędzlem po płótnie, wyczarowując sanockie zaułki.

Nie było to jednak malarstwo spokojne. Getz malował obrazy pozornie prześwietlone słońcem, lecz w rzeczywistości przykryte jakby ciemnym welonem, nierzeczywistym cieniem. Malował architekturę dnia codziennego, nędzne, na pół zrujnowane domki, zagracone relikty z epoki c.k. Galicji, a wśród nich — kręcące się figurki ludzkie. Bohaterami jego obrazów byli prości ludzie: woźnice, zamiatacze ulic, robotnicy, przyjezdni wieśniacy, przypadkowi przechodnie. Nie bez kozery artysta kilkakrotnie namalował siebie przy pracy, pośród owych koślawych zaułków i szarych ludzi, nie wyróżniając siebie spośród otoczenia, doskonale wkomponowanych w sanocką codzienność. Leon Getz był jednym z tych ludzi, którzy stali się nieodzownym i naturalnym elementem na sanockiej ulicy, razem ze swą sztalugą, farbami i malutkim stołeczkiem.

Stałym motywem twórczości Leona Getza z okresu sanockiego stały się schody. W Sanoku, mieście na wzgórzu, przechodzień spotyka się z nimi na każdym kroku. W twórczości Getza zostały one nobilitowane do rangi symbolu. Schody te prowadziły do wyjścia z szarej, prozaicznej codzienności prowincjonalnego miasteczka, były symbolem drogi do sławy. Ale schody są zawsze strome, trudne do pokonania. Artysta pokazał ludzi, wspinających się mozolnie na każdy stopień. Zawarł w swych obrazach wielki dramat prowincji, pokazał, że aby móc stanąć do walki o wielkie ideały, trzeba naprzód umieć pokonać zwykłe, codzienne trudności.

Na twórczość nauczyciela z sanockiego gimnazjum, samotnie borykającego się ze swą artystyczną pasją zwrócił uwagę prof. Józef Mehoffer, ówczesny rektor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W 1934 r. przyjechał on do zaprzyjaźnionej rodziny, Strzelbickich, właścicieli majątku, położonego tuż za rogatkami Sanoka. Tam dowiedział się o malarzu, krążącym wśród sanockich zaułków. Zaintrygowany odwiedził go. Nie zastał jednak Getza w domu. Zostawił mu kartkę: „Chciałem poznać Pana, niestety nie zastałem go w domu. Ale to nic straconego. Na pewno jeszcze się spotkamy — J. Mehoffer"

Getz odszukał Mehoffera i pokazał mu swoje obrazy. Wywarły one duże wrażenie na rektorze. Był zachwycony talentem artysty, podziwiał jego heroizm, z którym zakopał się w sanockiej głuszy i świadomie skazywał na zapomnienie. Obiecał mu pomóc. Po powrocie do Krakowa

(Ciąg dalszy na str. 2)

„Przyjedź mamo na przysięgę..." Fot. M. KOPEC

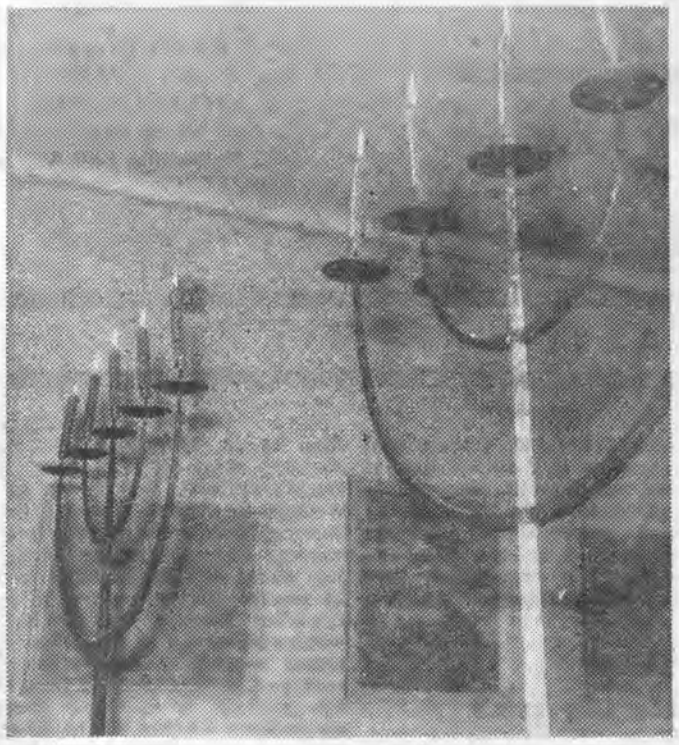

Fot. M. KOPEC

Festiwal wiejskich solistów i zespołów instrumentalno-wokalnych

W ostatnich dniach odbył się w Rzeszowie doroczny już Wojewódzki Festiwal Piosenki, organizowany przez Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej. Przez estradę sali muzycznej WDK przewinęło się 17 solistów i 9 zespołów wokalno-instrumentalnych, laureatów eliminacji powiatowych.

Jury konkursu po przesłuchaniu uczestników i ocenie I miejsce w kategorii solistów przyznało Stanisławowi Dutkiewiczowi z Lubaczowa. II miejsce zajęła Chaniklia Mociu z Przysiek, a III Danuta Bobek z Jedlicza. Dalsze miejsca zajęły w kolejności Krystyna Jurczak z Gorlic, Zofia Gnatowska z Przybyszówki, Krystyna Paterak z Weryni, Krystyna Pielech ze Strachocina i Jadwiga Łysakowska z Rzeszowa.

Spośród zespołów instrumentalno-wokalnych najwięcej punktów uzyskali „Samotni" z Przybyszówki, zajmując II miejsce (pierwszego nie przyznano), a 2 równorzędne III miejsca zespoły „Sezam-68" z Grabownicy i „Kornuty" z Gorlic.

Takie są wyniki przeglądu. Nadmienić jeszcze wypada, że wprawdzie jego uczestnicy nie reprezentowali poziomu, jakiego należałoby sobie życzyć, nie mniej jednak w porównaniu z ubiegłorocznym widać wyraźną poprawę. Przemawia to za kontynuacją festiwalu, a zarazem wskazuje potrzebę udzielenia zainteresowanym pomocy instruktażowej tak w zakresie repertuaru, jak i wykonawstwa. Uwagi te adresujemy do organizatorów przeglądu i placówek instrukcyjno-metodycznych — powiatowych i wojewódzkich.

(stanski)

Chcemy być społecznie użyteczni

ROZMOWA Z PREZESEM KKMP TADEUSZEM KUBASEM

Wkrótce minie dziesiąta rocznica powstania Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Trudną drogę przeszedł ten raczkujący kolektyw, wiele kłopotów, przeszkód subiektywnych, uprzedzeń różnych środowisk trzeba było pokonać zanim rzeszowski klub okrzepł, stanął na twardym gruncie, zdobywając autorytet i szacunek. Co więcej — ci, którzy nie wierzyli w społeczną przydatność tego klubu, dziś stali się entuzjastami; faworyzują jego działalność, a nawet są skłonni przypisać sobie niektóre osiągnięcia.

Rzeszów trwale wpisał się w literacką mapę kraju, wyprzedzając swą dynamiką rozwojową i aktywnością społeczną inne ośrodki wojewódzkie. Na ostatnim posiedzeniu Krajowej Rady KKMP rozważano kwestię zorganizowania właśnie w Rzeszowie IV Ogólnopolskiego Zjazdu adeptów tego ruchu. Prawdopodobnie taki Zjazd odbędzie się w naszym mieście w lutym 1969 roku. Działalność miejscowego klubu została wysoko oceniona przez naczelne władze. W związku z tym zwróciliśmy się do tow. **Tadeusza Kubasa**, prezesa klubu młodych pisarzy o udzielenie informacji na ów temat.

— Jeśli mówimy o jakiejś okrągłej rocznicy, zaraz nasuwa się nam myśl o dorobku. Może więc od tego pytania zaczniemy naszą pogawędkę?

— Owszem, to dobry punkt zaczepienia. Po latach rozwoju rzeszowskie środowisko literackie okrzepło organizacyjnie, dojrzało pod względem warsztatowym, słowem — zaczyna się liczyć w kraju. Nasz ośrodek zrzesza już 32 członków, nie wymieniając gorących sympatyków i wiernych przyjaciół. Na tle swych wielostronnych osiągnięć, działalności kulturalnej i literackiej, rzeszowski klub stanowi już w życiu społecznym województwa coś w rodzaju instytucji. Ba, powiem więcej! Jego aktywność kulturalna przyczyniła się do stworzenia klimatu, który sprzyjał powstaniu oddziału Związku Literatów Polskich. Jest ich na razie sześciu. Nasz klub jednak pełni funkcję naturalnej bazy, która będzie dostarczać nowych członków dla tej literackiej placówki związkowej.

— Warto w tym miejscu podkreślić, że ziemia rzeszowska dotąd w swej historii nie miała własnego środowiska literackiego...

— Otóż to! Mimo że wydała wielu wybitnych twórców, w przeszłości i w latach współczesnych! Proszę pozwolić, że wymienię z pamięci, a więc nieco chaotycznie kilka nazwisk. Są to: Julian Przyboś, Wilhelm Mach, Stanisław Piętak, Julian Kawalec, Jan Bolesław Ożóg, Gerard Górnicki, Jan Maria Gisges, aby na tym wyliczeniu poprzestać.

Miałem jednak mówić o dorobku środowiska. Program naszego działania bynajmniej nie ogranicza się do ambicji wydawniczych, chociaż wiele czasu temu poświęcamy. Pragniemy być społecznie użyteczni w szerszym zakresie tego słowa. Chcemy przychodzić z maksymalną pomocą wszystkim młodym, utalentowanym literacko ludziom, zamieszkałym nieraz w odległych wioskach i miasteczkach. Głównie spieszymy z pomocą debiutantom ze środowisk wiejskich, co jest chyba całkiem zrozumiałe; działamy bowiem pod egidą Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej. Poprzez kontakty osobiste, ocenę utworów, dyskusję na wspólnych posiedzeniach i drogą korespondencyjną, a także poprzez ułatwienia formalne publikacji dojrzałych utworów na łamach czasopism i w wydawnictwach książkowych — osiągamy cel główny: rozwój osobowości członków klubu, wartości intelektualnych i rozkwit talentu. Zapraszamy często do siebie wybitnych pisarzy, krytyków i przy ich aktywnej pomocy omawiamy sprawy warsztatowe. Wyjeżdżamy z nimi wspólnie w teren, do klubów, domów kultury, świetlic wiejskich; poprzez kontakty osobiste, rozmowy z czytelnikami staramy się zbliżyć współczesną twórczość literacką, zwłaszcza poezję — do społeczeństwa, zainteresować ludzi terenu naszą pracą, utworami, poszerzyć grono przyjaciół i sympatyków. W tym widzimy piękno działania, urok naszych pasji.

Opiekujemy się w sposób zorganizowany klubami „Ruchu" oraz „Klubami Rolnika", służąc im merytoryczną pomocą w zakresie działalności kulturalno-oświatowej. Do dobrych tradycji należy odbywanie grupowych spotkań autorskich z ludnością województwa, z okazji dni oświaty, prasy i książki oraz świąt. Swego czasu zorganizowaliśmy ogólnopolskie seminarium, poświęcone współczesnej nowelistyce i reportażowi.

— Słowem, chcecie poprzez swą aktywność wrosnąć w pejzaż rzeszowskiej kultury?

— Można to tak nazwać. Staramy się również trafić do innych środowisk młodzieżowych, a mianowicie — do robotniczych i szkolnych. Ostatnio nawiązaliśmy stałą współpracę z Zarządem Wojewódzkim ZMS. Odbyliśmy już kilka spotkań w klubach ZMS Przemyśla, Krosna, Mielca oraz innych miast. W roku 1968 spotkania autorskie firmowała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie.

Inicjujemy też inne spotkania. Takie rendez-vous z redaktorami społeczno-kulturalnego tygodnika „Widnokrąg" przerodziło się w żarliwą, przyjacielską dyskusję o nasze miejsce na ziemi. Chcemy podobne spotkania odbyć z przedstawicielami takich czasopism, jak lubelska „Kamena", „Głos Młodzieży Wiejskiej", „Współczesność" i innych periodyków.

— Staracie się głośno krzyczeć światu o swoim istnieniu. To jest całkiem zrozumiałe! Poza tym chyba coś piszecie?

— Pytanie dość kłopotliwe. Bo jak wybrnąć z takiej sytuacji, aby z jednej strony poinformować czytelników o sukcesach twórczych, z drugiej natomiast — nie zostać posądzonym o folgowanie próżności i megalomanię. Przyznam się, że wolałbym, aby ktoś inny za mnie o tym mówił. O, proszę, są tutaj wycinki gazet, recenzje naszych utworów, notatki z kroniki wydawniczej. Czasem nas chwalą, czasem ganią. Nas to wszystko cieszy. Bo najgorzej bywa wtedy, gdy twórcę zbywa się pogardliwym milczeniem.

W roku 1961 ukazał się „Almanach poezji rzeszowskiej" oraz jednodniówka „Próby literackie". Publikowaliśmy własne utwory w almanachach ogólnopolskich, w prasie krajowej i terenowej. W 1966 roku ukazał się nasz „Rzeszowski arkusz poetycki". Kolumny z rzeszowską poezją zamieściły takie pisma, jak krakowski kwartalnik „Forum", „Głos Młodzieży Wiejskiej", „Życie Literackie", „Nasz Klub". Kilkakrotnie użyczyła nam swych kolumn lubelska „Kamena" i rzeszowski „Widnokrąg". Poza tym widniały nasze nazwiska od czasu do czasu w takich periodykach kulturalnych i literackich, jak „Kultura", „Poezja", „Współczesność", „Życie Literackie", „Tygodnik Kulturalny", „Nowa Wieś", „Zarzewie".

Indywidualne zbiorki poezji opublikowali w różnych wydawnictwach: Józef Jankowski — dwa tomiki wierszy, Czesław Piotr Kondraciuk, Wiesław Kulikowski, Tadeusz Piekło, no i ja wydałem tomik wierszy w 1968 roku. Ostatnio przyłączył się również do nas Emil Granat wydając zbiór utworów poetyckich pt. „Wracając ziemią". Wspomnę jeszcze, że w wydawnictwach oczekuje swej kolejności kilka książek innych kolegów. Warto chyba też powiedzieć, że wkrótce ukaże się drugi almanach poezji rzeszowskiej pod tytułem „Gwoźnica". Takie zawołanie przyjęła nasza grupa poetycka; jest to nazwa miejscowości, w której urodził się i wychował wielki poeta Przyboś. W tym almanachu publikuje się utwory 22 członków klubu.

— Udział w konkursach literackich daje duże możliwości zwrócenia uwagi na Rzeszów, nie mówiąc już o zaspokojeniu ambicji osobistych, prawda?

— Z okazji XX rocznicy powstania PPR został zorganizowany w województwie konkurs na opowiadanie, wiersz, reportaż. Wygrał Czesław Piotr Kondraciuk. W 1963 roku udało mi się zdobyć II nagrodę w ogólnopolskim konkursie literackim na cześć XX-lecia ludowego Wojska Polskiego. Takich konkursów było więcej, gdzie otrzymaliśmy wyróżnienia.

Z początkiem 1968 roku miało miejsce spotkanie Zarządu klubu KKMP z udziałem towarzyszy z wojewódzkiej instancji partyjnej, przedstawicieli różnych placówek kulturalnych. W wyniku dyskusji powstał projekt corocznego, ogólnopolskiego konkursu prozatorskiego o Krzyż Maltański. Celem konkursu jest między innymi wyłonienie nowych talentów oraz stworzenie możliwości debiutu. Dlatego też członkowie SDP oraz ZLP będą wyłączeni z konkurencji. Rozstrzygnięcie konkursu i ogłoszenie wyników będzie następować w czerwcu, podczas „Dni Rzeszowa". Organizatorami są: Wydział Kultury Prezydium WRN, związki zawodowe, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna oraz nasz klub plus oddział Związku Literatów Polskich.

— Nasuwa się uwaga: dlaczego rzeszowscy młodzi twórcy to niemal wyłącznie poeci? Czemu poprzez stałe konkursy nie staramy się wychować prozaików, którzy by w dojrzałych dziełach prozatorskich przedstawiali trudne życie pokolenia, złożoną problematykę społeczną regionu? Czemu u was nie ma zainteresowania twórczością satyryczną?

— Za dużo naraz pytań! To jest niejako prawem obiektywnym, że poeci znajdują się w awangardzie literackiej działalności klubu. Poezja najściślej wiąże się z młodością, jest jego emanacją. Chociaż są też koledzy, którzy próbują swoich sił w twórczości prozatorskiej. Są nimi Czesław Piotr Kondraciuk, Tadeusz Piekło i Jerzy Sękowski. Istotnie, potrzebny byłby coroczny konkurs ogólnopolski na powieść o życiu na naszej pięknej Rzeszowszczyźnie. Potrzebni byliby również satyrycy, lecz skąd ich wziąć?

— Czas już chyba kończyć rozmowę i życzyć wszystkim członkom rzeszowskiego środowiska literackiego jeszcze większych sukcesów na literackiej niwie.

— Dziękuję redakcji w ich imieniu i swoim własnym.

Rozmawiał:

STANISŁAW RAMS

Sanockie zaułki Leona Getza

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wystąpił do Ministerstwa Oświaty i Wyznań Religijnych z wnioskiem o udzielenie stypendium sanockiemu artyście na podróż do Italii. Ministerstwo odpowiedziało odmownie, zasłaniając się brakiem funduszów. W rzeczywistości rzecz miała się inaczej. Leon Getz nie miał po prostu protekcji. Wystarczyło, jeśliby miał referencje dwóch... generałów WP. Niestety, Getz jako żywo nie miał znajomości, nie tylko w sferach Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych czy też Sztabu Głównego, ale nawet w Dowództwie Okręgu Korpusu...

Zamiast do Italii Getz ruszył w... Bieszczady. Przedsięwzięcie okazało się daleko tańsze i bardziej zyskowne. Artysta zwiedził Bieszczady wzdłuż i wszerz. Owocem jego wyprawy były cenne materiały etnograficzne, dziesiątki rysunków, 120 prac olejnych. Poza tym przywiózł całą kolekcję ikon. Można było za nie sfinansować wyprawę do Italii wszystkich uczniów prof. Getza. Ale artysta okazał się społecznikiem i lokalnym patriotą. Wszystkie ikony przekazał do tworzącego się muzeum w Sanoku. Dzisiaj ikony stanowią chlubę miasta, stanowią jedną z największych kolekcji w Europie.

Z biegiem czasu Leon Getz poszerzył sferę swych zainteresowań. Nie wystarczała mu praca pedagogiczna i malowanie. Zajął się także konserwacją dzieł sztuki oraz archeologią. O wykopaliskach na terenie powiatu brzozowskiego (k. Dynowa) pisała nieraz prasa. Stanowiły one sensację archeologiczną. Znaleziska pochodziły jeszcze z czasów rzymskich.

W czasie okupacji hitlerowskiej Leon Getz objął kierownictwo muzeum sanockiego. Okazało się to nieodzowne, ponieważ pracownicy muzeum uciekli przed wojskami niemieckimi, albo też znajdowali się w oddziałach WP. Ktoś musiał zabezpieczyć cenne zbiory przed grabieżą nie tylko hitlerowców, lecz także zwykłych przestępców czyhających na okazję, aby zagarnąć ikony. Dzięki artyście zostało uratowanych wiele eksponatów. Getz niejednokrotnie sabotował zarządzenia okupanta, zmierzające do zagrabienia zbiorów. Jeszcze na początku okupacji, zostały wydane zarządzenia nakazujące oddanie zasobów finansowych wszelkich organizacji i instytucji państwowych na potrzeby Niemców. Getz miał na koncie muzeum pewną sumę, ale ani myślał wykonywać dekretu. Wystawił antydatowane rachunki, rozdzielił pieniądze między robotników i zabrał się wraz z nimi do prac konserwacyjnych przy budynku zamkowym. W rezultacie odkrył dwa prześliczne, renesansowe okna, zamurowane przez poprzednich użytkowników.

Getz był dwukrotnie aresztowany przez gestapo, ale za każdym razem zdołał jakoś wydobyć się z opresji. Zawsze powracał do muzeum, mimo iż grunt zaczynał mu się palić pod nogami. Doczekał jednak wyzwolenia i oddał polskim władzom muzeum w nienaruszonym stanie.

Po wojnie Leon Getz osiedlił się w Krakowie. Do 1958 r. był wykładowcą krakowskiej ASP. Obecnie jest na emeryturze, mimo to nadal bierze udział w życiu społecznym i artystycznym miasta. Mieszkańcy podwawelskiego grodu znają go i szanują nie tylko z racji talentu, ale również zaangażowania społecznego. Miastu, które go przyjęło, ofiarował owoc kilkuletniej pracy — zbiór kilkuset rysunków starych kamienic, kościołów i podwórek krakowskich. Znają go zresztą nie tylko w Krakowie. Leon Getz wystawiał swoje obrazy w wielu miastach europejskich i amerykańskich. W rodzinnym Lwowie historycy sztuki przygotowują do druku monografię na temat jego twórczości. Ale Leon Getz chyba najbardziej ceni sobie sławę, którą zdobył w Sanoku. W mieście, w którym wspinał się do sławy po krętych, śliskich na pół zarośniętych trawą schodach. Na ścianach pracowni Profesora wiszą ocalałe z wojennej zawieruchy obrazy z sanockich czasów. Patrząc na nie Leon Getz mówi: „Oto Sanok sprzed 40 lat, miasto ubogie, miasto w cieniu księżyca, miasto, które najbardziej ukochałem".

Stanisław Rams

Poletko świętego Huberta

Łyknąłem sobie dla rozgrzewki jedną jałowcówkę u Marysi w Lutowiskach, więc zrobiło mi się dziwnie wesoło. Jak to było potem, dalibóg, przysięgał nie będę. Minąłem właśnie leszczynową zarośl, gdy ktoś mnie zaczepił:

— Na polowańko...?

Spojrzałem w tamtym kierunku. O białopienną brzózkę stał oparty w niedbałej pozie bury. Domyślając się, widać, mojego zakłopotania, dodał szybko:

— Nie mam pretensji. Nam niedźwiedziom nie dzieje się krzywda. Jest nas zaledwie kilkanaście, stanowimy zatem okrasę przyrody.

Wyjaśniłem cel mojej wędrówki. Niedźwiedź pokręcił ciężką głową.

— Pepery dziś w domu nie zastaniecie — rzekł. — Pojechał o świcie do Brzegów Dolnych przyczaić się na wilki. Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, to najlepiej będzie wiedział mój znajomy z wojewódzkiej rady, inżynier Wołcz. Kiedyś prosił mnie, aby mu pomóc sporządzić inwentaryzację fauny na ziemi rzeszowskiej. Jakiś urząd żądał od niego takiej statystyki. Zarządziłem więc zbiórkę całej zwierzyny na Szerokim Wierchu. Przybyło wtedy między innymi 5 100 jeleni, ponad 21 tysięcy saren, 225 tysięcy szaraków, 6 800 lisów, 3 400 dzików, kilkadziesiąt danieli.

Patrzył chwilę na mój reporterski notes, po czym dodał:

— Zapiszcie też, że mamy w województwie ponad trzysta rysiów, trochę mniej żbików, ba! nawet jakieś jenoty kręcą się ostatnio po okolicy. Przyszła ta hołota gdzieś z dalekiego wschodu; drapieżnik z niego wielki, ni to lis, ni to wilk. A propos wilków! Jest ich kilkadziesiąt. Też dranie. Kiedyś zimą mi futro oskubały.

Pogwarzyliśmy sobie o różnych sprawach gospodarki łowieckiej. Na przykład o Ośrodku Hodowli Jelenia Karpackiego, którego kierownikiem jest Władysław Pepera. Ten ośrodek istnieje już od kilku lat. Jeleń Karpacki to wspaniałe zwierzę. Prawdziwej urody! Rekordy wieńców w Polsce należą właśnie do byków karpackich. Rosłe, krzepkiej kondycji, znalazły na bieszczadzkiej ziemi doskonałe siedlisko. Żyją w dziesięciu nadleśnictwach, od Cisny, na wschód do Tarnawy Niżnej, od Polany i Chrewtu, po bezludne Sianki i Wyżny Koniec.

Czertyż, Magura, Wysokie Berdo, Kiczera i Widełki, Rozsypaniec i Roztoczki, połoniny bogate w wiosenną soczystość, rewiry leśne pełne smakowitych pąków, młodych pędów, ziół odurzających, potoków gderliwych — z czystym nurtem wód skaczących z kamienia na kamień! Nic dziwnego, że tu jest ich wyraj. Stado liczy osiemset sztuk.

— Żubr również jest atrakcyjną, hm! jakby tu powiedzieć... — zacząłem się gmatwać szukając właściwego słowa.

— Atrakcyjną zwierzyną, prawda? — dopowiedział mi bury, łagodnie się uśmiechając. — Przyznam się, że mam do nich pewien uraz. To ponure typy. Kiedyś z jednym musiałem stoczyć walkę, bo nie chciał mi ustąpić ścieżki. Zlitowałem się w końcu nad niedojdą i powiedziałem sobie: mądrzejszy pierwszy ustępuje! Rozrabia to — to po lesie, jak pijany zając w kapuście. Czochra się łamiąc urodziwe modrzewie. Niszczy sadzonkę na uprawach leśnych. Ogryza z dziką pasją korę młodych osik, dębu, świerczyny i jodeł; rozumu to bydlę żadnego nie posiada.

Bury oczywiście przesadzał w swej niechęci. Bo żubry mają wiele zalet. Są nie lada ciekawostką dla obcych turystów, myśliwych z wielu stron świata. Stanowią w bieszczadzkim pejzażu malowniczy akcent. Przywieziono ich przed czterema laty z Puszczy Niepołomickiej i Pszczyny; coś ze dwadzieścia sztuk. Rosną sobie zdrowo. Przybyło dwanaście cieląt i jałowic. Jest to niewątpliwie największe zwierzę polskich lasów; jego ciężar wynosi nieraz jedną tonę!

— Był tutaj wśród nich taki trochę stuknięty! — kontynuował swą opowieść mój rozmówca. — Nazywaliśmy go Pulpitem. Podczas rui dostał rogiem od rywali i pogniewał się na wszystkich. Dwa razy uciekał z Bieszczadów. Włóczył się po polach i wioskach. Złapali więc ludzie tego głupiego byka do klatki i wywieźli z powrotem do Niepołomic. Nawet filmowali go jak pajaca, śmiechu było na cały las!

Od łysej połoniny, różowej od szronu i zachodzącego słońca, dobiegł nas śpiew myśliwego. To Pepera wracał z wilczej wyprawy.

Miłość i pieniądze

Nad niebieskim lustrem bieszczadzkiego morza, na zboczu lesistego masywu w pobliżu miejscowości Rajskie, wyrośnie dom dla bractwa spod znaku świętego Huberta. Będzie to nowoczesny hotel, przeznaczony specjalnie dla zagranicznych myśliwych. Zbuduje się też na leśnych bezdrożach kilkanaście stylizowanych kolib myśliwskich; coś w rodzaju szałasów, gdzie goście będą mogli schronić się przed zawieją śnieżną, burzą, lub po prostu odsapnąć trochę na szlaku swych wędrówek. Takie punkty powstały już w Tarnawie, Wetlinie, Cisnie, Lutowiskach. Holendrzy, Belgowie, Austriacy, Francuzi, Włosi i Anglicy czują się w tych schroniskach doskonale.

Bieszczady to leśne eldorado! Warto dokonać tutaj nawet kosztownych inwestycji, po to, aby zwabić zagraniczników, sprzedając im świeże powietrze, górski pejzaż, no i tego sierotę jelenia.

Przedsiębiorstwo Produkcji Leśnej „Las" w Rzeszowie jest monopolistą w skupie dziczyzny na terenie województwa. Odwiedziłem ostatnio wielkiego miłośnika leśnej fauny, zastępcę dyrektora Stanisława Bańkę. Przy filiżance gorącej kawy miło nam się gawędziło.

— W ubiegłym roku wysłaliśmy na rynki Europy 18 ton tuszy, co dało nam w efekcie 55 tysięcy złotych dewizowych, czyli 14 tysięcy dolarów.

— ...Smakosze zagraniczni przepadają za pieczenią z sarny. Niestety, w ubiegłym roku mogliśmy wysłać niewiele ponad 13 ton tej dziczyzny, uzyskując 73 tysiące złotych dewizowych. Jak pan się orientuje, daje nam to 18 tysięcy dolarów. Za dziki mrożone dostaliśmy 6 tysięcy dolarów. Nie wykorzystaliśmy wszystkich możliwości eksportowych.

— Zawsze roztkliwia mnie widok zajączka, śpiącego pod zieloną miedzą!

— Eee, redaktorze, to czujne draby! Śpią z otwartymi ślepiami. Nie wiadomo, jak do nich podejść, aby złapać na żywo. Bo za parę żywych szaraków dają nam 15 dolarów. W roku 1967 wysłaliśmy 1 172 sztuki, głównie do Francji, Szwajcarii, Belgii, co pozwoliło nam zarobić w gotówce 20 tysięcy dolarów. Poza tym wyeksportowaliśmy 53 tony zajęcy mrożonych; dochód — 31 tysięcy dolarów!

W podobny sposób omówiliśmy wszystkie pozycje eksportowe, a więc kaczki, bażanty, kuropatwy, dzikie gęsi, a nawet ślimaki i zielone żabki.

Gospodarstwo łowieckie na ziemi rzeszowskiej stanowi ogromny majątek państwowy, jakże rzadko doceniany! Handlujemy natomiast po staroświecku, bez żyłki kupieckiej. W wydaniu tradycyjnym. Bardziej opłacalny byłby przerób dziczyzny na miejscu. Te różne pasztety, konserwy, tuszki w sosie własnym, marynaty, inne specjały u nas przyrządzone, podniosłyby co najmniej kilkakrotnie wartość wysyłanego towaru. Na zagranicznych rynkach jest potrzebna dziczyzna odpowiednio porcjowana, w różnych gatunkach. Ale cóż, brak nam odpowiednich urządzeń, chłodni, zaplecza gospodarczo-technicznego. Brakuje punktów skupu dziczyzny w terenie. Zwierzyna ubita w lasach baligrodzkich czy w okolicy Wołosatego, musi być przez myśliwego wyekspediowana aż do bazy w Dębicy. Jakość towaru pogarsza szanse eksportowe.

— W przyszłej pięciolatce przewidujemy pewne inwestycje w tym zakresie — informuje rozmówca. — Oczywiście, to nie zaspokoi wszystkich potrzeb.

Ziemia rzeszowska należy do najbardziej lesistych regionów kraju. Co trzeci hektar jest porosły leśnym drzewostanem. Gospodarka hodowlana i łowiecka wymaga aktywnej roli człowieka. Czy fauna musi być tak mało urozmaicana? Czy nie można byłoby sprowadzić, celem rozmnożenia, innych gatunków zwierząt?

Wygubiony niegdyś łoś, mógłby znów znaleźć schronienie w bieszczadzkich rewirach. Daniel, piękny i smukły, byłby okrasą naszej ziemi, gdyby go bardziej rozpowszechnić. Sarna syberyjska, więcej dorodna, mniej wybredna od swej siostrzycy europejskiej, mile zostanie powitana w polskich górach. Bielak, odmiana zająca, żyjąca w lasach, stanowiłaby ciekawostkę łowiecką. Dziki konik leśny, przed pięcioma wiekami przebiegający polskie knieje, uciekł nam na daleką Syberię. Warto go sprowadzić. Sobol, mieszkaniec zimnej północy, chwalony za cenne futerko, czułby się również w naszym kraju nieźle. Suhak, podobny do barana, jeszcze w XVIII wieku mieszkał w polskich Karpatach. Wycofał się na daleki wschód. Zaprośmy go do Polski!

Spośród setek gatunków leśnej fauny na świecie, z pewnością znalazłoby się więcej zwierzaków, które by podniosły atrakcyjność polskich lasów.

Leśna romantyka

Myślistwo, włóczęga po wertepach, kontakty z przyrodą, nie przez wszystkich zostały odkryte. Na ziemi rzeszowskiej działa 113 kół łowieckich, które zrzeszają 2500 członków. Ubożuchna to liczba. Zwłaszcza że trzecią część stanowią chłopi i leśnicy, którym przecież nie brakuje fizycznego ruchu i świeżego powietrza.

— To dosyć kosztowna zabawa, stąd jej elitarny charakter — mówi Tadeusz Bednarz, przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego PZŁ. — Dużo jest ludzi ze wsi, bo w myśliwstwie widzą konkretne korzyści materialne. Poza tym są dyrektorzy, prezesi, działacze wyższego szczebla, słowem ludzie lepiej sytuowani materialnie. Nie mają wiele czasu, aby na tym hobby zarobić. Traktują to jako odpoczynek. Za dobrą strzelbę trzeba dziś wydać z dziesięć tysiączków, albo więcej. Jeszcze opłaty, różne świadczenia, koszty wyjazdu w teren...

Zabijać! Czy na tym polega urok sąsiedztwa z przyrodą?

Ginie piękna, prastara tradycja myśliwska. Coraz mniej ceni się nocne podchody do ryczącego na zboczu górskim jelenia. Coraz mniej jest takich, których urzeka o świcie tokujący głuszec, szelest zbliżającej się w gęstwinie lisicy, świst słonki na bagnach w czas przedwiośnia.

— Proszę pana — obrusza się przewodniczący. — Wśród nas jest wielu takich, którzy godzinami obserwują zwierzynę, podpatrują jej życie, wydzierają jej sekrety, mają piękne okazy na muszce, ale wzdragają się strzelić. Wracają do domu z pustymi rękami, a jednak zachwyceni spędzonym dniem.

— Myśliwska sztuka fotograficzna, oto wciąż nowy rozdział kontaktów człowieka z lasem. Wielbiciele przyrody zachwycają się porożem, szablami odyńca, zdobiącymi ściany mieszkań. Mało jest hobbystów, którzy mają własne zbiory amatorskich fotografii z podpatrzonym życiem leśnym. Konkursy. Wystawy! — oto propozycje na przyszłość.

Poletko św. Huberta. *Fot. M. KOPEC*

Ten odyniec znowu się spóźnia! Według umowy miał się zgłosić już pięć minut temu... *Fot. M. KOPEC*

Wystawa ikon

W dniach od 1 XII — 29 XII 1968 r. w sali Stowarzyszenia Miłośników Jarosławia — Jarosław, Rynek 6, jest otwarta wystawa ikon ze zbiorów Składnicy Zabytków Ruchomych przy Muzeum — zamku w Łańcucie. Wspomniana Składnica Zabytków gromadzi i zabezpiecza zabytki ruchome naszego województwa. W jej zbiorach znajduje się około 800 ikon. Konserwatorzy ratują je przed zniszczeniem, przywracają ikonom pierwotny, jasny koloryt, pozwalając ocenić ich wartości artystyczne. Dobór eksponowanych ikon uwzględnia ich najpopularniejsze typy pochodzące z czasów od połowy XVII do końca XVIII wieku. Jest to jedynie skromna część dzieł sztuki charakterystycznych dla wnętrz małych cerkiewek Rzeszowszczyzny, zebranych i zabezpieczonych w Muzeum — zamku w Łańcucie.

A. H.

Jan Grygiel

Ostatnie spojrzenie

Wiadomość o śmierci prof. Stanisława Pigonia dotarła do mnie, gdy już przeczytałem nową jego książkę, która kilkanaście dni temu ukazała się na półkach księgarskich*. Ale już w trakcie lektury gnębiło mnie przeczucie, iż to mojego profesora i wychowawcy książka ostatnia, że stanowi jakby testament człowieka i uczonego. Mówi się, iż umierający widzą jaśniej i szerzej, iż otrzymują dar syntetycznego spojrzenia na całe swoje życie, które przewija się przed ich oczyma jak na taśmie filmowej. Nie sądzę, by trzeba było to traktować dosłownie — nie ulega jednak wątpliwości, że książka „Z przędziwa pamięci" była życiowym bilansem Pigonia i powstała w wyniku wiedzy o bliskiej śmierci. Jest to w dorobku uczonego trzecia osobista, autobiograficzna książka po pamiętniku „Z Komborni w świat", i „Wspomnieniach z obozu w Sachsenhausen" — najpełniejsza mimo skromnego podtytułu; „Urywki wspomnień". Autorowi wyraźnie przyświecała chęć pozostawienia dokumentu, podsumowania swojego bogatego życia oraz przypomnienie bliskich i przyjaciół, którzy się przez nie przewinęli... „Rozpatrując w zapatrzeniu się retrospektywnym przebiegi szybko przemijającego życia, wspominając wyniesione zeń doznania, najchętniej i najdłużej zatrzymuje się pamięć przy ludziach ongiś bliskich, przy tych zwłaszcza, co nas darzyli łaską swej przyjaźni, a już odeszli. Każdy człowiek rad by sobie zapewnić tę odrobinę ziemskiej trwałości, którą mu się udało osadzić w ludzkim, dobrym wspomnieniu więc i sam o kapitale doznanej życzliwości nigdy jakoś zapomnieć nie może i rad doń wraca" — pisał we wspomnieniach o Stefanie Kołaczkowskim. Tej zasadzie jest wierny w „Przędziwie pamięci".

Profesor Pigoń raz jeszcze w swojej książce podkreślił związki uczuciowe łączące go z ziemią krośnieńską i rodzinną Kombornią, jej tradycjom, najbliższej rodzinie poświęcił sporo miejsca. Ukazał rozmiary i ciężary Komborni u schyłku doby pańszczyźnianej i zmierzch rodowego porządku na jej terenie, później poświęcił dwa szkice swoim szkolnym czasom w jasielskim gimnazjum, (bardzo ciekawe wspomnienie o teatralnym i literackim debiucie Stefana Jaracza, koledze profesora ze szkolnej ławy), wreszcie w hołdzie rodzinnej ziemi ogłosił piękny esej o związkach Fredrowskiej „Zemsty" z Krosnem.

Ale „Przędziwo wspomnień" zamyka całokształt przeżyć i doznań autora. Nie mogło więc braknąć fragmentu pamiętnika z I wojny światowej i to pamiętnika pisanego w tamtych czasach, na bieżąco. Prof. Pigoń uczestniczył jako oficer austriackiej baterii moździerzy w niemieckiej agresji na Belgię, a później w walkach nad Mozą. Ile tu szacunku i współczucia dla przeciwników i ile potępienia dla metod terroru Niemców.

Następnie Uniwersytet Jagielloński — szkic o inwazji młodzieży chłopskiej i jej postawie w murach uczelni — piękna sylwetka przyjaciela autora prof. Stefana Kołaczkowskiego, wspomnienie o Ignacym Chrzanowskim, i bardzo ciekawa relacja z audiencji u prezydenta Mościckiego. Grupa profesorów U. J. oraz ludzi niezależnych politycznie, o dużym autorytecie moralnym, postanowiła w przededniu wojny 1939 roku przedstawić prezydentowi postulat... „by w chwili tak ważnej, w obliczu realnego niebezpieczeństwa agresji, podjąć kroki do zjednoczenia całego narodu, rozszerzyć bazę kierowniczą państwa, przełamać zapory, co odpychają liczne i różnorodne elementy opozycyjne, zerwać z zasadą wyłączności... i utworzyć Rząd Jedności Narodowej".

Niestety ta szlachetna i trochę utopijna inicjatywa patriotów i ludzi dobrej woli spotkała się z zalewem cynicznej euforii samochwalstwa i samouspokojenia Mościckiego. Przyjął ich ostro i odprawił z kwitkiem. Ale pozostała piękna karta w dziejach krakowskiej uczelni i w biografii Stanisława Pigonia, który należał do tej grupki opozycyjnej. Historia miała rychło przyznać rację uczonym, a nie pyszałkowatemu władcy. Lecz Mościcki uszedł bezpiecznie w pierwszych dniach wojny za granicę nie zapominając zabrać ze sobą dokumentu obywatelstwa szwajcarskiego, a ciężar hitlerowskiego terroru spadł na barki profesorów. Mówią o tym przerażające wspomnienia z obozu w Sachsenhausen, w którym autor znalazł się razem z 200-osobową grupą krakowskich uczonych zaraz po objęciu przez okupantów władzy. Z bólem, goryczą, ale równocześnie z wielką godnością, spokojem i wzruszającą do głębi żarliwością moralną pisał sędziwy profesor o niesłychanym w dziejach ludzkości gwałcie dokonanym przez hitlerowców legitymujących się tytułami naukowymi, na jednym z najstarszych w świecie uniwersytetów i jego luminarzach. Własnymi oczyma oglądał męczeństwo swych przyjaciół — profesorów: Estreichera, Siedleckiego, Smoleńskiego, Chrzanowskiego, ks. Michalskiego, Kołaczkowskiego i innych. Ale nawet w piekle obozowym Pigoń szukał wszędzie odruchów ludzkości, człowieczeństwa i znajdował je nie tylko w heroicznej postawie moralnej uczonych więźniów, lecz również wśród strażników, funkcyjnych w obozie, blokowych... Te odruchy współczucia i drobinki życzliwości broniły autora przed utratą wiary w człowieka, przed załamaniem się i śmiercią. Wielki humanista, życzliwy i dobry człowiek nawet w tych warunkach nie zatracił swej moralnej siły. Nic dziwnego, że spokojny głos uczonego wywołał odzew wielu prawdziwych ludzi z całego świata. Listy z wyrazami gorącego współczucia, zdumienia i wstydu za utytułowanych oprawców nadsyłali po opublikowaniu wspominków Szwajcarzy, Włosi, Niemcy i Francuzi... „Wstydzę się, że nasz naród, który dopuścił się tych straszliwych okrucieństw wobec narodu polskiego i innych narodów. Przejęty jestem przede wszystkim ogromną wielkodusznością autora. On i wielu innych przeżywało nieludzkie cierpienia, a mimo wszystko nie stracili wiary w ludzkość" — pisał m. in. czytelnik z Hamburga.

Książkę zamykają dwa wspomnienia z okresu okupacji spędzonej w Krakowie — o konspiracyjnej działalności pracowników Biblioteki Jagiellońskiej i o tajnym uniwersytecie.

I tak, z drobnych, pozornie niespójnych szkiców wspomnieniowych wyłania się zarys biografii zmarłego uczonego. Niech ta książka, pełna zadumy, spokoju, mądrości nie tylko największego polskiego uczonego, wielkiego erudyty i wychowawcy całych pokoleń humanistów, ale i mądrości wieku dojrzałego zawsze przypomina nam piękny żywot prawdziwego człowieka. Profesor Pigoń dobrze się przysłużył kulturze polskiej. Ale rektor i profesor dwu uniwersytetów, historyk literatury mający w dorobku kilkaset prac naukowych — w swej skromności zbyt mało publikacji poświęcił swej osobie. Tym cenniejsze jest to ostatnie spojrzenie autora na swoją drogę życiową. Bogactwo języka, klarowność stylu i żywość pamiętnikarskiej narracji będą nam, Jego uczniom zawsze kojarzyć się z niezapomnianymi wykładami w gmachu przy ul. Gołębiej i z krępą sylwetką przyjaciela i serdecznego opiekuna studentów.

Stanisław Pigoń: „Z PRZEDZIWA PAMIĘCI" — Urywki wspomnień, W-wa 1968 r., PIW.

KORESPONDENCJE • POLEMIKI • DYSKUSJE • KORESPONDENCJE

„Bieszczady z bliska"

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułami Redaktora Zdzisława Kozioła pt. „Bieszczady z bliska" zamieszczonym w numerze 177 Waszego pisma z dnia 27—28 VII 1968 r. Naczelny Zarząd Lasów Państwowych w zasadzie zgadza się ze stwierdzeniami w nim zawartymi.

Pragniemy jednak wyjaśnić kilka spraw, a mianowicie:

1) Resort Leśnictwa zapoczątkował budownictwo w Bieszczadach już w roku 1954, tj. w okresie znacznie wyprzedzającym jakiekolwiek kompleksowe plany zagospodarowania tego terenu, jak również szereg przepisów wydanych w latach późniejszych, a dotyczących programowania, przygotowania i realizacji inwestycji. W tej sytuacji inwestor bezpośredni, tj. Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Przemyślu, kierował się głównie potrzebami dotarcia do niedostępnych kompleksów leśnych, w celu rozpoczęcia prowadzenia w nich racjonalnej gospodarki leśnej. Z uwagi na całkowitą niemal niedostępność tego terenu (w latach 1954—1962) budownictwo to miało charakter prowizoryczny i niejednokrotnie odbiegało od wymogów obecnie stawianych tego rodzaju obiektom. Niemniej stwierdzić należy, że budowane przez OZLP obiekty były realizowane z reguły według dokumentacji powtarzalnych, a następnie typowych i zawsze w uzgodnieniu z właściwymi terenowo organami nadzoru budowlanego i planowania przestrzennego. Obiekty zakwaterowania zbiorowego (hotele robotnicze) realizowane były, aż do roku bieżącego, według własnych projektów powtarzalnych oraz według projektu typowego rolnictwa. Obiekty te nota bene o niskim standardzie, musiały być wznoszone z uwagi na konieczność zakwaterowania stale rosnącej liczby pracowników (zarówno leśnych, jak i budowlanych).

W roku bieżącym zakończone zostało opracowanie typowego hotelu dla robotników leśnych na 100 miejsc, w roku przyszłym wejdą do realizacji projekty typowe hoteli dla robotników leśnych na 50 miejsc — w dwóch wersjach. Obiekty wybudowane na bazie tych projektów, o pełnym wyposażeniu i standardzie wymaganym aktualnie obowiązującym normatywem technicznym projektowania hoteli pracowniczych, będą mogły — zgodnie z intencją autora artykułu — służyć jako pomocnicza baza turystyczno-wypoczynkowa, po ich zwolnieniu przez pracowników OZLP.

2) Zagadnienie regionalizmu w budownictwie jest dyskusyjne i w przedmiocie tym nie ma do chwili obecnej uzgodnionych poglądów między specjalistami z tego zakresu (architekci, urbaniści itp.). Osady leśne realizowane są z reguły na terenie całego kraju według tych samych projektów typowych, opracowanych przez biuro kierujące typizacją w zakresie budownictwa wiejskiego (w skład którego wchodzi w zasadzie także budownictwo leśne), tj. Biuro Studiów i Projektów Wzorcowych Budownictwa Wiejskiego w Warszawie. Niemniej w zestawie projektów osad leśnych znajdują się projekty osady gajowego oraz osady bliźniaczej dla robotników leśnych tzw. typu górskiego. Nie są one jednak chętnie stosowane z uwagi na nie najlepsze rozwiązania i niewielkie różnice w architekturze w stosunku do innych projektów. Ostatnio — na wniosek OZLP w Przemyślu — NZLP wyraził zgodę na realizację osad leśnych w terenach górskich i podgórskich według projektu typowego budynku mieszkalno-letniskowego nr 1 dla Podhala (KB4-1.1.1.1.(56). NZLP nie stawia również przeszkód we wprowadzeniu do planu typizacji typowych regionalnych osad leśnych dla rejonu Bieszczadów pod warunkiem sprecyzowania przez OZLP w Przemyślu, w uzgodnieniu z miejscowymi władzami architektoniczno-budowlanymi, danych wyjściowych do założeń dla tych osad, z tym jednak, że z uwagi na ograniczenia w stosowaniu drewna, jak również jego małą trwałość jako materiału konstrukcyjnego, NZLP nie popiera zastosowania go w przedmiotowych projektach.

3) Zagadnienie budowy sieci dróg leśnych w rejonie Tarnawy wyprzedziło — z uwagi na konieczność udostępnienia tego regionu dla racjonalnej gospodarki leśnej — plany i koncepcje Resortu Komunikacji Budownictwa Drogowego na tym terenie (magistrala karpacka i in.) nie mniej wszystkie poczynania administracji lasów państwowych w zakresie budowy dróg w tym rejonie zostały uzgodnione z odpowiednimi jednostkami w/wym. resortu.

Poruszona przez autora artykułu i oceniona krytycznie sprawa budowy dróg stokowych, wynika — jak się wydaje — z braku pełnego rozpoznania specyfiki trudności w udostępnieniu lasów. Drogi takie budowane w innych okręgowych zarządach lasów państwowych — administrujących lasami górskimi — zdały egzamin, są tanie, łatwe i szybkie w budowie i spełniają stawiane im przez gospodarkę leśną zadania.

4) Problem szkód od zwierzyny łownej na terenie Bieszczadów istnieje i OZLP w Przemyślu stosuje wszelkie możliwe środki dla zapobieżenia tym szkodom, m. in. również przez odgradzanie pól od lasów, które odbywa się na zasadach § 15 Instrukcji Ministra Leśnictwa i PD z dnia 27 VII 1960 r. (Biuletyn MLiPD nr 18—19, poz. 211).

Zgodnie z podanym trybem postępowania — rolnicy składają zbiorczy wniosek w sprawie grodzeń do właściwego prezydium powiatowej rady narodowej za pośrednictwem prezydium gromadzkiej rady narodowej. Akceptowany przez Prez. PRN wniosek jest przekazywany do Okręgowego Zarządu LP, który w przypadku ekonomicznego, uzasadnienia przekazuje go wraz z opinią do Naczelnego Zarządu LP, a ten z kolei wydaje ostateczną decyzję, przekazując jednocześnie odpowiednie środki finansowe na ten cel.

W przypadku pozytywnego załatwienia wniosku — w trybie jak wyżej — rolnicy otrzymują od administracji lasów państwowych bezpłatnie materiały grodzeniowe, wraz z transportem na miejsce budowy i są zobowiązani do:

— zrzeczenia się odszkodowań od terminu określonego w umowie o wykonanie grodzeń.

— wykonania grodzeń własnymi siłami i kosztem oraz konserwacji i remontów tych grodzeń z materiałów przydzielonych bezpłatnie przez administrację lasów państwowych.

Szacowanie i wycena szkód wyrządzanych przez zwierzynę łowną, realizowane są zgodnie z postanowieniami rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 26 I 1960 r. w sprawie odszkodowań za szkody wyrządzane w uprawach i plonach rolnych przez dziki, jelenie i daniele (Dz. Ust. nr 5, poz. 32), które obowiązują zarówno rolników, jak i administrację lasów państwowych. Sprawa zmiany postanowień w/wym. rozporządzenia była niejednokrotnie wysuwana przez Resort Leśnictwa — jednak jak dotychczas czynniki kompetentne nie rozpatrzyły jej pozytywnie.

Inż. MIECZYSŁAW HOUSMAN
zast. dyrektora d/s ekonomicznych

od autora

Wyjaśnienie Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego przeczytałem z mieszanymi uczuciami; jest to właściwie jedyny resort, który rzeczowo ustosunkował się do postulatów w sprawie zagospodarowania Bieszczadów, natomiast inne urzędy uparcie milczą bądź też ich przedstawiciele, jak to czasami bywało w przypadku władz lokalnych, za krytykę obrażają się, twierdzą, że publiczne dyskutowanie złożonych problemów bieszczadzkich utrudnia postęp w tym regionie. Jest to jak najbardziej pogląd fałszywy.

W zasadzie podzielam pogląd autorów wyjaśnienia, że resort leśnictwa, realizując program budownictwa bieszczadzkiego ma do pokonania poważne przeszkody, ale przecież nie każdy mankament można tłumaczyć jedynie względami obiektywnymi. Pominę tu sprawy mniej istotne, nie będę podawał przykładów nieodpowiedzialności, za którą później społeczeństwo płaci wysoką cenę; pisałem już bowiem o oszpeceniu bieszczadzkiego krajobrazu obiektami wznoszonymi według projektów obowiązujących w całym kraju, ale Bieszczady są także „zagracane" budowlami „dzikimi", na które nikt nie zezwolił. Chodzi tu więc nie tylko o przepisy, które utrudniają lub nawet wręcz uniemożliwiają inicjatywy na rzecz stworzenia stylu regionalnego w budownictwie bieszczadzkim, ale także o ignorowanie przepisów słusznych, co przekreśla wysiłki zmierzające do sensownego rozwiązania wielu kwestii.

Chociażby taki przykład:. inwestor, podległy resortowi leśnictwa, zleca terenowemu zespołowi usług projektowych adaptację projektu typowego jakiegoś obiektu, z kolei kierownik zespołu angażuje do tych czynności techników i inżynierów w przedsiębiorstwie będącym inwestorem. Zaadaptowany projekt zatwierdza kierownik wydziału budownictwa i architektury rady narodowej, który jest równocześnie... kierownikiem zespołu usług projektowych. W takiej sytuacji u r z ę d n i k staje wobec alternatywy.: albo interes publiczny, albo korzyści osobiste...

Drugi zasadniczy postulat — dla Bieszczadów, jako regionu nietypowego (a mam tu na myśli jego przyrodę, przeszłość i perspektywy), trzeba wydać inne przepisy, opracować inne normy itp. Dotyczy to m. in. budownictwa bieszczadzkiego. Zgadzam się z autorami wyjaśnienia, że problem regionalizmu w budownictwie jest dyskusyjny, że specjaliści nie uzgodnili jeszcze wielu kwestii. Niestety, jeśli chodzi o architekturę bieszczadzką to w zasadzie poważniejszej dyskusji w ogóle nie podjęto, pozostaje ona właściwie w sferze marzeń jednostek, ewentualnie zaleceń nie mających mocy prawnej. A wypracowanie regionalnego stylu to przecież kwestia wielu lat. I to jest jeden z najbardziej ważkich problemów, bo w przeciwnym wypadku nasze piękne góry będą z każdym rokiem szpecone licznymi obiektami, nie wkomponowanymi w krajobraz, niedostosowanymi do warunków klimatycznych itd.

Być może do spraw tych powrócę jeszcze w odrębnym artykule, a teraz jeszcze jedna uwaga o charakterze ogólnym i też zasadniczym. Głównym bogactwem Bieszczadów, o czym już niejednokrotnie miałem okazję pisać, jest p r z y r o d a tego regionu, unikalna, jedyna w swoim rodzaju. Ustawa z 7 kwietnia 1949 roku o ochronie przyrody postanawia, że minister leśnictwa jest władzą naczelną ochrony przyrody. Czy działalność gospodarcza resortu leśnictwa i przemysłu drzewnego niekiedy nie pozostaje w sprzeczności z postanowieniami i, jeśli można użyć takiego określenia, duchem wspomnianej ustawy? Jest to problem szeroki i złożony, ale w Bieszczadach spotkałem wiele przykładów świadczących o tym, że przedsiębiorstwa podległe ministrowi leśnictwa przedkładają doraźne korzyści nad interes ogólny.

I jeszcze jedno.: to dobrze, że resort leśnictwa dostrzega problem szkód, jakie rolnikom wyrządza zwierzyna leśna, będąca skądinąd chlubą Bieszczadów. Ale czy to wystarcza osadnikowi, któremu dziki zjadły ziemniaki, a jelenie stratowały łany zbóż? W wyjaśnieniu czytamy, że sprawa zmiany przepisów dotyczących odszkodowań nie leży w kompetencji resortu leśnictwa; od siebie dodam tylko, że bieszczadzcy rolnicy są bardzo zainteresowani grodzeniem lasów, ale ich prośby jeszcze nie zostały uwzględnione.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Bronisław Dryja

dojrzałość oczu

otrzymany od ciebie
elementarz
mogę czytać bez światła
ale błądzę w zaroślach słów
i pajęczynie zdarzeń
* * *
wszystko mnie wyprzedza
przestała kwitnąć radość
osypał się kwiat uniesień
nawet znaki alfabetu
kryją się w zmarszczkach
tylko wiatr
spocone ociera mi czoło
* * *
zabłąkany
wśród krzyżujących się nadziei
wyciągam ręce
by otworzyć nie istniejące drzwi
widzę
że na targu
czas sprzedaje moje dni
* * *
po drodze doznań
schodzę wewnątrz siebie
na odległość spojrzenia
i żuję twarde życie

Edward Zolowski

Refleksje

tylko mi pamięć pozostała
sosnowej chaty
wśród gwiazd wędrówek
przydrożna wierzba
rosochata
na skraju świtu
zielonym szumem

przestrzeń zastygła taflą nieba
wiszące ptaki
u okien zmierzchu
jesienny pejzaż
trawą drżący
głogami zorzy
symfonią deszczu
tylko mi ręce ocalały
kamiennych figur
u dróg dalekich
gałęzie wiatru
fioletowe
i źrenic wszystkich
płynące rzeki

organy dębów w chmurach ciężkich
gorzki smak leszczyn
ogrody wrzosów
czerwony księżyc
na dnie kropli
kwiat świętojański
wypięty z włosów

Zdzisław Ostrowski

Sobowtóry

Stroili dachy w rzędy anten
zawarci w ścianach rozgrywali czas
wchodzili w ekran
jak we własną skórę

Drgały falami włókna ciał
trwonili siebie w zmysłach pięciu
którzy wytarci
o siedziska

Aż runął pod stopami strop
zawiśli w krzesłach pod sufitem
wytarte oczy.

Czesław Piotr Kondraciuk

Zimowe pastorałki

Śród nocnej ciszy śnieg się bieli
z końskich gardzieli bucha para —
już aniołowie przylecieli
by na srebrzystych grać fanfarach.

Idą malutkie Chrystusiki
śnieg chrzęści mrozem pod nogami
Woźnica bredzi — pewnie wypił
tęgiej gorzałki pełną szklanę.

W kapliczkach drzemią senne Marie
wiatr na gałęziach glorię śpiewa
i pastuszkowie powracali
woźnica usnął — przestał ziewać.

grudzień 1967 r.

Zofia Stąpor

jak

dotknąć kraty
za którą kamienie
mają twarze
między głosami
pustych dzbanów
znaleźć słowa
nie napisanych wierszy

pod sklepieniem
przetacza się
krzyk prosto w oczy
bez udziału kory
sznur obrazów
wpija się w pamięć

w zaciśniętej dłoni
klucz
do ogrodu bez ptaków

Franciszek Ceglak

Chodzi też o to

poezja — jeżeli wdrążysz się w to stwierdzenie
samo pojęcie jest siłą

pamiętasz tam kiedyś posadzono ziarno
teraz rozwija się pod rzeczami nieba
zatraca liście
i znów w nie odrasta
wystarczy tylko odrobina chęci
aby zrozumieć przetwarzanie czasu

nie chodzi przecież o zgarnianie zórz
i wicie blasku nad głową
tutaj się liczy powiedzenie siebie
poddźwignięcie rąk
gdy ziemię posypują łoskotem popiołu
chodzi też o to
by każdy dzień miał własne światło
i drogę rozumiały ręce
by tę świadomość donieść wszędzie

Wiesław Kulikowski

U nas w domu

U nas w domu zima na talerzach,
obrus dla drzew, objętych twoimi rękami,
Śnieg się zaczyna na krześle.
Klucz obrośnięty jest w śnieg.
Chodźmy już w świetle
po kolana.
Mazurki są białe
na klawiszach parkanu.

Za oknem świeci talerz —
biały sad.
Leży na śniegu lato.

Ludomir Mazela

Pod Cergową

przez oczy płynie błękit — drzewa nachylone
gdy w upale spoczywasz z łokciami pod głową
śnieżne płyną obłoki-gołębie uśpione
na dolinę Jasiołki nad las pod Cergową
ale zejdź ze szlaku w martwą trawę suchą
w chaos gąszczu opadły z pogwaru ptasiego
— hełm żołnierski pod stopą odezwie się głucho
rdzawe znalezisko wieku dwudziestego

z cyklu: Wysoki świat

Piotr Żbikowski

Patrzę z bliska ci w twarz

I

Laik nic tutaj nie zobaczy
Nie umie przez rzeczy patrzeć — aż do końca
I wzrok od powierzchni odparty
Wróci bezradny

II

Odpływ tamtego czasu
Jak piasek na wybrzeżu twarz ci wyrzeźbił
W zapudrowanych zmarszczkach
Zatopione kontury wspomnień — bledną

III

Smutna nienawiść jak wołanie o pomoc w oczach
Czarny tusz na rzęsach roztopiony łzami
Krechą czerwoną przekreślona dawna szczerość ust

I cień na całej twarzy
Mrocznieje
Sięga źrenic

Zbigniew Wawszczak

O kupcach z Wiednia społecznym działaniu i znakomitym historyku literatury...

Reportaż z doliny Bukowca

W siedzibie GRN pustki, i sekretarz i przewodniczący gdzieś wyszli, pani z finansowego nie potrafi mi powiedzieć kiedy wrócą. Wcale nie jestem zachwycony takim obrotem sprawy, od kogoś przecież muszę zdobyć trochę informacji o sześćsetletnim miasteczku, zdegradowanym przez ostatnią wojnę do rzędu zwykłej wsi, tyle, że będącej siedzibą władz gromadzkich. Zastanawiam się co począć, gdy do biura wchodzi młody, szczupły mężczyzna w sportowej wiatrówce. Coś tam załatwia z urzędniczką i zabiera się do wyjścia. Decyduję się szybko, proszę go o chwilę rozmowy. Przechodzimy do pustego pokoju przewodniczącego.

ZAWIEDZIONE NADZIEJE?

Młody człowiek jest nauczycielem w szkole podstawowej. Do Bukowska przybył przed czterema laty, po skończeniu Studium Nauczycielskiego w Rzeszowie. Edward Tokarski, bo tak nazywa się mój rozmówca, robi wrażenie człowieka odrobinę zawiedzionego, rozczarowanego.: — Wyniki mojej pracy w środowisku są raczej mizerne — stwierdza melancholijnie.

Nie wiem kogo obwiniać, zapewne i młodego nauczyciela, i inne jeszcze osoby z Bukowska. A przecież Tokarski, jak się wydaje, nie stroni od społecznej roboty, jest członkiem organizacji partyjnej, wykładowcą szkolenia (narzeka zresztą na słabą frekwencję na tym szkoleniu) i nie bardzo rozumiem jak mogło dojść do sytuacji, o której mimochodem wspomniał. Postanowił zbudować boisko do siatkówki, zmobilizował chłopców ze starszych klas. Na wypożyczony wóz ładowali kamienie, a później sami, mozoląc się co sił, ciągnęli powoli kamienie na plac przed szkołą. Dlaczego nauczyciel nie odwołał się choćby do pomocy organizacji partyjnej, której jest członkiem? Przecież w Bukowsku koni nie brakuje!

Tokarski uważa, że poniósł porażkę, zamierza opuścić Bukowsko. W tamtejszej szkole zatrudnionych jest 13 nauczycieli, gdy dodamy jeszcze pracowników GS, Rady Narodowej, agronoma — to okaże się, że jest tu wcale nie mała grupa inteligencji. Czy ludzie ci udzielają się w pracy społecznej, czy pomagają w rozwiązaniu zasadniczych dla środowiska problemów? Część z nich na pewno tak, ale czy wszyscy? Albo czy przynajmniej większość z nich?

ZAANGAŻOWANI SPOŁECZNIE CZY TEŻ NIE?

A jaka jest postawa mieszkańców Bukowska w stosunku do społecznych potrzeb? Przykład budowy wspomnianego wyżej boiska nie nastrajał optymistycznie, nie dawał nadziei na pozytywną odpowiedź. Lecz to przecież dopiero początek, muszę porozmawiać z wieloma ludźmi, spojrzeć na sprawę z rozmaitych punktów widzenia. Akurat pokazali się w biurze GRN ludzie, którym całokształt miejscowych stosunków nie jest obcy. Prezes Gminnej Spółdzielni, Kazimierz Klimek, mężczyzna w średnim wieku, o bujnej, ciemnej czuprynie, widocznie wystraszył się mnogości pytań, którymi go zasypałem, gdyż nie zwlekając długo zadzwonił po księgową. Biura GS sąsiadują z siedzibą GRN, niedługo więc poznałem panią Czesławę Kurasz, żonę miejscowego felczera, osobę inteligentną i ogromnie rozmowną. Państwo Kuraszowie przybyli do Bukowska przed kilku laty, patrzą więc na wiele spraw spojrzeniem ludzi z zewnątrz, wyraźniej rysują się im blaski i cienie.

— Ludzie tutejsi — tłumaczy mi pani Czesława — są ogromnie pracowici, potrafią angażować się społecznie, umieją ocenić każde nowe ulepszenie. Czy podejmowali jakieś prace społeczne? Ależ tak, oczywiście. Bardzo zabiegali o to, aby tu w Bukowsku powstała Gminna Spółdzielnia. Odpowiedziano im: dobrze ale sami musicie wszystko przygotować. Więc w czynie społecznym wybudowali, wyremontowali punkt skupu, stajnię spędową i przez cały rok, dopóki GS nie otrzymał samochodu, dostarczali z odległego o 13 km Sanoka wszystkie towary. Oczywiście, powstanie GS bardzo ułatwiło sprzedaż produktów rolnych, zakup nawozów sztucznych i innych towarów. Bliska współpraca GS z rolnikami utrzymuje się po dzień dzisiejszy. Mieszkańcy Bukowska chcą się budować, prawie każdy myśli o wzniesieniu nowego, murowanego domu i odkłada w tym celu pieniądze. Aby ułatwić rolnikom zaopatrywanie się w materiały budowlane, GS zbudował specjalny magazyn. Kosztował on ok. 120 tys. zł, połowę z tej sumy wyłożyli (w postaci robocizny) mieszkańcy miasteczka.

Ale to jeszcze nie koniec. Niewielkie, ogromnie zniszczone w czasie ostatniej wojny miasteczko buduje nowoczesny dom kultury. Dom jest już pod dachem, robotą kieruje społeczny komitet z udziałem Piotra Przybosia, pracownika GS, Feliksa Zabiegi, leśniczego Jana Hujsaka, rolnika i Kazimiery Kochańskiej, emerytowanej nauczycielki.

SPOŁECZNIK W CAŁYM TEGO SŁOWA ZNACZENIU

Nie tylko pani Czesława Kurasz czy nauczyciel Tokarski, także inni rozmówcy wyrażali się z ogromnym aplauzem o emerytowanej nauczycielce Kochańskiej. Charakteryzowano ją jako osobę ogromnie z Bukowskiem związaną, mimo podeszłego wieku bardzo czynną, obecną nieomal wszędzie, gdzie coś się robi. Jest radną GRN, z jej nazwiskiem łączy się budowa szkoły, domu kultury, ona to jeździła aż do Warszawy, do prezesa Centrali Spółdzielni Rolniczych Jańczyka z prośbą tutejszego społeczeństwa o utworzenie Gminnej Spółdzielni. Z jakim skutkiem odbyła się ta podróż — już wiemy. Przy tym wszystkim Kazimiera Kochańska — mówiono mi — to osoba ogromnie dla wszystkich życzliwa. Po tylu pochlebnych rekomendacjach, postanowiłem poznać panią Kochańską. Zastałem starszą panią w otoczeniu sporej gromadki drobiu, którą wprawnie karmiła. Pani Kochańska była nieco zakłopotana moim nieoczekiwanym najściem, zaraz jednak poprosiła mnie do domu. Pokój, w którym się znalazłem był bardzo skromnie urządzony, stare, wysłużone meble, trochę książek. Na dźwięk słowa Bukowsko pooraną zmarszczkami twarz pani Kazimiery pokryły rumieńce, oczy nabrały blasku. Rodzinne miasteczko Kochańskiej — to jej duma, troska i radość.

— To pan nie wie, przecież obchodziliśmy niedawno 600-lecie — oburzyła się nieomal, kiedy wydało się, że fakt ten uszedł mojej uwadze — to pan nie zna artykułów o Bukowsku z Rocznika Sanockiego? Musi pan koniecznie je przeczytać! To było kiedyś miasteczko bardzo sławne. Ja pamiętam jeszcze jak byłam dzieckiem przed Wielkanocą odbywały się tu ogromne jarmarki, trwały cztery dni, od poniedziałku do czwartku. Z gór, tutaj dookoła były ludne wsie, rolnicy spędzali stada owiec, siwych wołów z ogromnymi rogami, przyprowadzali piękne konie, zjeżdżali kupcy z rozmaitych stron, nie brakło ich z samego Wiednia, a oprócz nich rozmaici kuglarze, kramarze.

Wyczarowała sędziwa nauczycielka barwny obraz miasteczka sprzed lat. Próbowałem go skontrastować z tym co widziałem dzisiaj, a więc ruch przed laty był ogromny, dziś spokój, pusto, z rzadka pojawi się jakiś samochód, przejedzie furmanka. Błoto jest chyba takie samo, ciemne, lepkie, tłuste, klejące się do butów, znaczące jesienny początek grudnia, nie inaczej musiało być wczesną wiosną. Ten cały jarmarczny gwar, ruch odbywał się na rynku, na tym obszernym placu, którego środek zajmuje dzisiaj okazały gmach szkolny. Jego budowa również związana jest z nazwiskiem Kochańskiej. Uczy już 47 lat, przez długie lata była kierowniczką szkoły w Bukowsku. Więc jak to było z tą szkołą?

NAJŚCIE GESTAPO I UPA

Trzeba się cofnąć do lat okupacji, kiedy to ponad trzytysięczne miasteczko stało się etapem, punktem przerzutowym dla ludzi, którzy ciągnęli na Węgry, stamtąd na zachód aby nadal bić znienawidzonego wroga. Pamięta pani Kochańska dokładnie daty, fakty, zdarzenia. 4 marca 1940 r. hitlerowcy otoczyli miasteczko, wielu ludzi aresztowali, wywieźli do obozów. Część konspiratorów zdążyła w porę zbiec przed niemiecką obławą, należała do nich również Kochańska. Spalona w rodzinnym Bukowsku spędziła okupację na wsi w jarosławskim. I data 4 kwietnia 1946 roku. Wpadli do Bukowska grasujący w pobliskich górach banderowcy. Byli i tak „przyjaźnie" usposobieni, skoro nie mordowali mieszkańców, tylko idąc od domu do domu z okrzykiem.: „zabieraj się, bo palimy", rzucali płonące żagwie do izb, na dachy. W parę godzin została z miasteczka kupa dymiących rumowisk, ludzie stracili wszystko, zostali tylko w odzieniu, często bez butów, zanim człowiek pozbierał przerażone dzieci, dom już płonął jak zapałka.

AUGUSTYN KAMYK — I ŁAZIENKA!

Ocalało tylko parę domów, w nich ludzie gnieździli się przez kilka lat, dopóki nie sklecili byle jakich siedzib. Było im bardzo ciężko ale przecież upartym wysiłkiem, z pomocą ludowego państwa odbudowano Bukowsko. Dziś liczy 1 200 mieszkańców i wkracza w nowy etap, przebudowy z drewnianego w murowane.

Opowiadano mi o magazynierze bukowskiego GS-u, Augustynie Kamyku. Był on jednym z pierwszych, którzy próbowali uprawy rzepaku, udało się, za ich przykładem poszli inni. Uprawa roślin przemysłowych, dająca stosunkowo duże dochody, rozwija się w Bukowsku z roku na rok. Jeszcze przed dwoma laty GS skupił od rolników tylko ponad 60 ton roślin przemysłowych, w ubiegłym roku przekroczono 200 ton, a mieszkańcy zainkasowali za rzepak 2 miliony zł.

Magazynier Kamyk wybudował sobie domek murowany z bieżącą wodą, łazienką. Jego sąsiad skopiował Kamykowe domostwo i tak już idzie ta ,moda" od jednego do drugiego. Już z trzydzieści nowych domów, w tym kilka podobnie wyposażonych jak u Kamyka, można by naliczyć. A leśniczy to nawet centralne ogrzewanie ma w domu!

DOM KULTURY I LUMINARZE LITERATURY

— Może się pan wybierze — zwraca się do mnie p. Kochańska — zobaczyć nasz dom kultury? Chętnie przystaję na tę propozycję. Mijamy gmach szkoły, pani Kazimiera już od paru lat nie jest jej kierownikiem, ale uczy nadal.

— Zbudowaliśmy szkołę z cegły, uzyskanej z rozbiórki ruin sądu i innych obiektów, spalonych przez UPA. Włożyliśmy jedną trzecią wartości obiektu w materiałach, w robociźnie. Panie, jaki ja moment grozy przeżyłam, kiedy rozbierali ludzie jedną ze ścian. Siedziało sobie paru chłopów pod murem, palili i gawędzili. Ledwie uszłam kilkadziesiąt kroków, ściana runęła z hukiem. Nieprzytomna ze strachu przybiegłam na miejsce wypadku. Na szczęście, robotnicy akurat odeszli od ściany, nikogo nawet nie drasnęło.

W 1955 r. oddaliśmy szkołę do użytku. Były kłopoty z jej trochę na wyrost obliczoną kubaturą, a dzisiaj jest jak znalazł, liczba dzieci uległa zwiększeniu no i przedłużono cykl nauczania do ośmiu lat!

Zatrzymujemy się przed piętrowym budynkiem z czerwonej cegły. To przyszły dom kultury. Pani Kochańska prowadzi mnie do środka: „Tutaj będzie sala widowiskowa na kilkaset miejsc, tu biblioteka. Składaliśmy po 400 zł z domu, mieliśmy starą cegłę z ruin i włożyliśmy własną robociznę. Teraz do prac wykończeniowych ma się dołożyć powiat". Rozumiem satysfakcję starej nauczycielki, dom kultury, który już za rok, dwa otworzy podwoje jest również jej osobistym, prywatnym dziełem, osiągnięciem. Będzie gdzie wystawić sztukę jaką, którą magazynier GS, grajek, rolnik i w ogóle człowiek do wszystkiego Piotr Przyboś z młodymi z koła ZMW przygotuje i zabawę gdzie urządzić...

Zmieniamy temat. Pytam o nazwiska sławnych ludzi, którymi szczyci się Bukowsko.

— O, proszę pana, mamy rodaków i to bardzo sławnych. Choćby prof. Julian Krzyżanowski, Tu się urodził, tu znajdują się groby jego rodziców, my go tu doskonale znamy... Mamy także innych, którzy się wybili ale to już wszyscy moi uczniowie, proszę się nie dziwić, ja uczę od 1925 roku. Należy do nich historyk dr Feliks Kiryk (przygotowuje monografię rodzinnego Bukowska), inż. Jan Żydka dyrektor w Ministerstwie Górnictwa...

Pani Kochańska wylicza jeszcze nazwiska wykładowców szkół średnich, wojskowych, inżynierów. Nie zdążyłem zanotować, ale czy trzeba koniecznie zwiększać ich liczbę? Czy nazwisko uczonego światowej sławy, znakomitego historyka literatury, wytrawnego badacza i znawcy kultury ludowej, autora tylu cennych książek nie wystarczy aby małe Bukowsko słusznie mogło być dumne!

SPRAWY DO ZAŁATWIENIA

Jesień tegoroczna, obfitująca jak rzadko kiedy w opady, przysporzyła rolnikom Bukowska i sąsiednich wsi nie lada kłopotów. Ludzie łamali koła, wozy tonęły po osie, wielu nie dało sobie rady ze zwózką ziemniaków, buraków. Zakopcowano je w polu. Jesień ta postawiła ze szczególną ostrością problem dróg. Do samego miasteczka prowadzi dobra, asfaltowa szosa. Droga ta jednak kończy się u początków Bukowska, które tonie w błocie, a im dalej w góry, to już lepiej nie mówić. Istnieje więc pilna potrzeba opracowania i realizacji planu naprawy dróg na terenie gromady. Nie podobna przypuszczać aby można to było zrobić jednorazowym zrywem i aby obeszło się bez pomocy władz powiatowych. Trzeba tu sięgnąć do bogatych już dzisiaj doświadczeń dziesiątków wsi rzeszowskich, które potrafiły dorobić się doskonałych dróg, przebudowanych metodą tzw. stabilizacji.

Spraw do załatwienia jest w położonym w dolinie Bukowca miasteczku podobnie zresztą jak w innych miejscowościach, sporo. Wiedzą o tym doskonale ludzie, kierujący gromadzką radą, gminną spółdzielnią, aktywiści partii, ZSL i sądzę, że stać ich na rozsądne, mądre działanie. Powinni zrobić wszystko aby leżące u stóp Karpat, sześćsetletnie Bukowsko rozwijało się jak najszybciej!

Czy zgłosiłeś się już do Klubu Książki „Człowiek-Świat-Polityka" 69?

Organizatorami Klubu jest Dom Książki i Redakcja „Nowin Rzeszowskich".

Zestaw książek klubowych składa się z 30 tytułów wybranych przez wydawnictwa: Spółdzielnię Wydawniczą „Książka i Wiedza", Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Państwowe Wydawnictwo „Wiedza Powszechna", Ludową Spółdzielnię Wydawniczą i Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" — z ich planów wydawniczych na rok 1969. Oto tytuły:

Bednar A., Deniszczuk M.: Wymiana międzynarodowa a rozwój gospodarczy Polski. PWE, s. 148, opr. pł. plus obw. zł 25, III kwartał 1969 r.

Broniewski J.: Zanim przyjdą o świcie. Iskry, 15 ark. wyd. brosz., zł 20, maj 1969 r.

Dmoch T., Sadurski E.: Sejm PRL. KiW, 10 ark. wyd. brosz., zł 10, I kwartał 1969 r.

Gomułka W.: Z kart naszej historii. KiW, s. 430, brosz., zł 15, IV kwartał 1968 r.

Gościniak K.: Czym jest, a czym nie jest Konstytucja PRL. WP, s. 130, brosz., zł 10, I kwartał 1969 r.

Klafkowski A.: Obozy koncentracyjne hitlerowskie jako zagadnienie prawa międzynarodowego. Wznow. PWN, s. 104, brosz., zł 8, maj 1969 r.

Kołodziejczyk L.: Paryskie noce barykad. KiW, 20 ark. wyd., brosz. zł 18, II kwartał 1969 r.

Madajczyk C.: Okupacja Polski przez III Rzeszę. T. 1—2. PWN, 50 plus 33 ark. wyd. opr. pł. zł 120, kwiecień 1969 r.

Malinowski M.: Geneza Polskiej Partii Robotniczej. KiW, 35 ark. wyd., opr. pł. zł 50, IV kwartał 1969 r.

Namiotkiewicz W.: Myśl polityczna marksizmu a rewizjonizm. KiW, 10 ark. wyd., brosz. zł 10, II kwartał 1969 r.

Od Mojżesza do Mahometa. Praca zbiorowa. Iskry, 20 ark. wyd. — opr. pł. zł 30, wrzesień 1969 r.

Pod niebem północy i południa. Iskry, 12 ark. wyd. brosz., zł 12, grudzień 1968 r.

Reniak M.: Człowiek stamtąd. MON, 18 ark. wyd. brosz., zł 20, III kwartał 1969 r.

Sidor K.: Rewolucja pod piramidami. KiW, 22 ark. wyd., brosz. zł 35, I kwartał 1969 r.

Kozaczuk W.: Bitwa o tajemnice. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1922—1939. Wznow. KiW, s. 350, brosz., zł 30, kwiecień 1969 r.

Stawiński S.: Od Borów Tucholskich do Puszczy Kampinoskiej. Iskry, 10 ark. wyd., opr. zł 18, wrzesień 1969 r.

Twardecki A.: Szkoła janczarów. Iskry, 12 ark. wyd. brosz., zł 14, październik 1969 r.

Załuski Z.: Czterdziesty czwarty. Wydarzenia, obserwacje, refleksje. Wznow. Czyt. s. 537, brosz. zł 28, marzec 1969 r.

Przypominamy, że członkiem Klubu może zostać każda osoba fizyczna, która w ustalonym terminie złoży przewidziane regulaminem zgłoszenie wraz z zamówieniem i równocześnie dokona wpłaty należności z góry za wszystkie zamówione książki.

Wszystkich zainteresowanych informujemy, że uległa zmianie treść 12 punktu regulaminu Klubu, który otrzymuje następujące brzmienie:

„Członkowie Klubu, którzy zapłacą z góry za zamówione książki wartości co najmniej 100 zł, otrzymają premię w postaci bonów książkowych upoważniających do zakupu dowolnych książek w każdej księgarni „Domu Książki" wg następującej tabeli.

Wysokość wpłaty	Wysokość premii
100 zł	20 zł
od 101 do 200 zł	40 zł
od 201 do 300 zł	50 zł
od 301 do 400 zł	70 zł
od 401 do 500 zł	90 zł
od 501 do 600 zł	120 zł
od 601 do 800 zł	150 zł
ponad 800 zł	180 zł

CZŁOWIEK ZNIKĄD

Wśród wielu tradycji świątecznych, istnieje jedna, której prapoczątków trudno dociec. Zawiera w sobie dobroć, ludzką solidarność, obietnicę pomocy. Jest to obyczaj pozostawiania przy wigilijnym stole jednego wolnego miejsca, dla nieznanego przybysza, który może samotny i nikomu niepotrzebny chodzi w tę noc pustą drogą własnego losu. Symboliczny gest jest, jak wyciągnięta ręka. Miejsce najczęściej pozostaje nie zajęte, samotny człowiek nie usłyszał zaproszenia.

Historia, którą chcę opowiedzieć, jest w pełni autentyczna, zmienione zostały tylko szczegóły. Człowiek znikąd istnieje jednak naprawdę i nurtuje mnie myśl, że może któreś z tych pozostawionych przy wigilijnym stole miejsc mogło być początkiem jego życiorysu. Ale nie było.

Był chłodny, przedwiosenny wieczór, pełen deszczu i gwałtownych wiatrów, taki — co to zapowiada rychłą wiosnę, ale obietnicy jeszcze nie szybko dotrzyma. Powiatowy dworzec kolejowy wyludnił się już i trwał sennie, czekając następnego dalekobieżnego. Przy bufecie kilka kiwających się postaci, szum ulewy za oknem i przyciszone dzwonki sygnalizacyjne z pokoju zawiadowcy. W najdalszym kącie, oparty o ścianę, siedział człowiek. Twarz jego była niewidoczna w mroku, ale nogi nieruchome i sztywno wyciągnięte można było dojrzeć. Nogi biedaka w starych, połatanych butach, nad którymi zaczynały się wystrzępione nogawki drelichowych spodni. Bufetowa już kilkakrotnie zerknęła na mężczyznę, niechętna jego obecności, bo pijacy zawsze obciążali jej konto i musiała tłumaczyć się za nich przed władzą. Ten nie należał do stałych bywalców bufetu kolejowego, przyjechał zapewne którymś z pociągów i nic nie wskazywało na to, że zamierza udać się dalej. Siedział tu już od dłuższego czasu, nieruchomy, coraz bardziej niepokojący tym bezruchem, sam jeden, odgrodzony trudno uchwytną barierą od pozostałych osób.

Przy bufecie jeden z klientów ożywił się nagle, rozejrzał po sali, a dostrzegłszy siedzącego mężczyznę, powoli zbliżył się do niego z kuflem piwa.

— Hej! Brat, może chluśniesz? — Nie było odpowiedzi.

Podszedł jeszcze o krok i trącił siedzącego w ramię. Bez skutku.

— Aleś się koleś zabańkował... mruknął z aprobatą i natarł bokiem.

Bufetowa czujnie wychyliła się zza kontuaru właśnie w tym momencie, gdy popchnięty mężczyzna osunął się na ławkę. Osunął się dziwnie, ciężko i tylko wyciągnięta ręka zamachała gestem nieporadnym, którego wprawne oko bufetowej nie mogło utożsamić z gestykulacją pijaków.

— Rany boskie, umiera! wrzasnęła przerażona i skoczyła w kierunku mężczyzny. Teraz już i kasjerka, i pomocnik zawiadowcy byli obok. Twarz człowieka ukazała się szara, zapadnięta, ale oczy pozostały przytomne. Smutne oczy zgonionego zwierzęcia, obojętne spojrzenie z innego brzegu.

— Panie, kto pan jest.

— Nie wiem...

— Chory?

— Nie wiem...

Wezwany lekarz pogotowia zaskoczony i niepewny zabrał mężczyznę do szpitala. Czy był chory? Chyba nie, przynajmniej nie w potocznym tego słowa znaczeniu. Pierwsze oględziny wykazały skrajne wycieńczenie organizmu. Patrzyli nań z niedowierzaniem; jakie koleje losu przygnały go w tym stanie na poczekalnię powiatowego dworca? Nie odpowiadał. Takie wypadki zgłasza się każdorazowo milicji, gdzie konfrontowane są z listami osób zaginionych i poszukiwanych przez rodziny, jak też z wykazem poszukiwanych przestępców. Żaden z przypadków rysopisowo nie odpowiadał osobie mężczyzny w szpitalu.

Całymi dniami leżał na swoim łóżku milczący i cichy. Spokojnie, rzec by można obojętnie, traktował lekarzy i pielęgniarki, wszystkich jednako zaintrygowanych osobą nieznajomego. Po kilku dniach, gdy jego ogólny stan poprawił się nieco, lekarz przysiadł na łóżku.

— Trzeba wypełnić pańską kartę. Jak się pan nazywa?

— Nie wiem...

— Miejsce zamieszkania?

— Nie wiem...

Nie wiedział, czy nie chciał mówić? A jeśli nie chciał, to dlaczego? Aparat milicyjny działał. Poszczególnymi rocznikami cofano się wstecz poszukując przypadku zaginięcia, które można byłoby dopasować do osoby mężczyzny. Wyciągnięto także wszystkie przypadki ucieczek ze szpitali psychiatrycznych. Na próżno. To ciągle nie był ten człowiek. A przecież gdzieś musiał mieszkać, przebywać, ktoś był mu bliski, ktoś zauważył, jeśli nawet nie przeżył jego odejścia. Gdzie był ten dom, z którego „wyszedł i dotychczas nie powrócił"? Wszystkie ślady urywały się jednak przy ostatecznych konfrontacjach akt sprawy. On sam wracał tymczasem stosunkowo szybko do zdrowia fizycznego. Oparty o ramę okienną patrzył na ulice miasta, nieruchomy i milczący, a zagadnięty nagle odpowiadał krótko, prawie monosylabami. Mówić o nim „nieznajomy" — trochę nieporęcznie. Nadano mu imię Kazimierz i pierwsze z brzegu nazwisko, dla wygody i aby dalej nie rozdmuchiwać sensacji. Otrzymał także przybliżony, ustalony na podstawie orzeczenia lekarskiego wiek. Około 22 lat.

Wreszcie postanowiono poddać Kazimierza badaniom psychiatrycznym. Nie wykazały patologicznych odchyleń od normy. Był więc człowiekiem normalnym. Normalnym człowiekiem znikąd. Amnezja? Przypadki amnezji są niesłychanie trudne do rozwikłania. Co zrobić z człowiekiem, który powinien już wyjść ze szpitala, a wyjść nie ma dokąd?

Rozmowa toczyła się w gmachu komendy milicji. Oficer w cywilu wyniósł swoje krzesło zza biurka i usiadł obok, chcąc tym gestem podkreślić nietypowość sytuacji.

— Opowiedzcie coś o sobie.

— Nie wiem...

Tylko tyle. Ale przecież wreszcie zaczął mówić, chociaż w jego relacji niewiele było słów. Oszczędność czy nieporadność językowa kryły historię przedziwną, niewiarygodną, właśnie przez swą prozaiczność. Jako dziecko został opuszczony przez rodziców. Nie potrafił wyjaśnić słowa „opuszczony". Nie udało się skonfrontować tego pojęcia z konkretnymi wspomnieniami, może więc dopiero później skojarzył je ze swoją własną sytuacją i automatycznie zaczął o sobie myśleć jako o dziecku opuszczonym. Być może. A w jakim okresie życia został sam? Nie wie. A jeśli miał lat np. pięć, to czy jest możliwe, by samotnym dzieckiem nikt się następnie nie zaopiekował, by nie było człowieka, którego zaniepokoiło bezdomne stworzenie, szukające legowiska w zimową noc? Aparat milicyjny znów zaczął działać: sprawdzić w kartotece na przestrzeni pierwszego dziesięciolecia po wojnie, wszystkie meldunki o zaginionych dzieciach. Nic. Zresztą pierwsze powojenne lata nie były przecież najdogodniejsze dla precyzyjnego kompletowania kartotek.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Dalszy ciąg opowieści Kazimierza był już konkretniejszy. Od kilku lat wędrował po kraju, głównie po wsiach najmując się do prac u gospodarzy. Odchodził, gdy powstawała konieczność zameldowania go na jakiś stały pobyt. Jak zameldować kogoś, kto nie ma nawet nazwiska, nie mówiąc już o dowodzie. Jako podrostek jeszcze nie budził późniejszej nieufności. Chłopcy w jego wieku często szukali dorywczego zarobku na uplanowane wędrówki. Dorosły mężczyzna — logicznie rozumując — musi mieć jakieś podejrzane powody, dla których odmawia informacji o sobie. Może bandzior, złodziej... Co kilka dni szedł więc dalej, aż doszedł do owego dworca w mieście powiatowym.

Prosto z gmachu komendy MO Kazimierz powędrował do domku zaprzyjaźnionych z funkcjonariuszem staruszków. Dostał tam kąt, a ich poproszono o opiekę i obserwację. Po kilku dniach załatwiono mu pracę w miejscowym zakładzie produkcyjnym. Prostą pracę za marne pieniądze. Zgłosił się już z tymczasowym zaświadczeniem tożsamości na imię i nazwisko nadane dla wygody personelu szpitalnego i by nie budzić niepotrzebnej sensacji. Przez kilka miesięcy trwał tak, chyba nie dostrzegając bacznej, acz dyskretnej, obserwacji wokoło. Pierwsza opinia z pierwszego stałego miejsca pracy brzmiała: dobry pracownik, obowiązkowy, ale małomówny i niełatwo nawiązujący kontakt z ludźmi. To był pierwszy dokument dotyczący go jako konkretnego człowieka, posiadającego nazwisko, imię, miejsce zamieszkania, swoją kartę personalną. Swoje miejsce w życiu.

I teraz pora na happy end. Prawie na samym wierzchu teczki z aktami sprawy leży odpis wyroku sądowego. Wyrokiem tym Sąd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nadaje człowiekowi znikąd imię, nazwisko, ustala jego datę i miejsce urodzenia. Miejscem tym jest miasto powiatowe, w którym na dworcu znaleziono mężczyznę w stanie skrajnego wycieńczenia. Jako ostatni dokument — opinia z nowego miejsca pracy. „Sumienny pracownik, rzetelny, odpowiedzialny. Jest inteligentny, ale ma usposobienie samotnika. Kończy wieczorową szkołę dla dorosłych". Opinia ma bardzo świeżą datę.

To wszystko. Koniec opowieści o człowieku bez życiorysu, który urodził się w wieku lat 22. Poprzednich lat nie było. Nie było bezdomnych nocy, pustki życia bez serdeczności i ciepła, w nieustannym sam na sam ze swoją innością, wypełnionym... właśnie, czym wypełnionym? A może jego prawdziwy życiorys zacznie się dopiero w dniu, w którym opowie komuś całą historię swego życia bez przemilczeń, z nieodpartej potrzeby serca,...

BARBARA SIDORCZUK

KSIĄŻKI

Julian Kawalec: SZUKAM DOMU. PIW s. 117, cena 10 zł.

Powieść, jak wszystkie dotychczasowe pióra tegoż autora, wykazuje znawstwo psychiki mieszkańców wsi. Bohater powieści szuka domu — własnej, spokojnej przystani starości. Chce ją znaleźć na wsi. Znajduje wieś z jej problemami i typami, konfrontuje rzeczywistość ze wspomnieniami.

Edward Nowak: „WILGA" NIE ODPOWIADA. MON s. 166, cena 8 zł.

Historia zwerbowania Polki do współpracy z wywiadem niemieckim, dzieje tej współpracy i tragiczny finał. Powieść sensacyjna z serii „Labirynt".

Eugeniusz Kabatc: ODPOCZYNEK W WYSOKIEJ TRAWIE. Iskry s. 147, cena 10 zł.

Powieść o tematyce wiejskiej i sensacyjnym wątku poszukiwania domniemanego zabójcy. Ciekawe obserwacje psychologiczne i realia współczesnego życia.

Przedstawiamy humor polski: PORY ROKU. Wyboru dokonał Jerzy Wittlin. Iskry s. 327, cena 35 zł.

Humor 40 wybranych polskich autorów prezentowany w utworach wierszowanych, prozaicznych i dramatycznych. M. in. znajdziemy tu utwory pióra J. Jurandota, K. Szpalskiego, S. Grodzieńskiej, L. J. Kerna, M. Samozwaniec, J. Sztaudyngera, S. J. Leca, M. Załuckiego.

Ewa Szelburg-Zarembina: WĘDRÓWKA JOANNY. LUDZIE Z WOSKU. MIASTECZKO ANIOŁÓW. ISKRY NA WIATR. T. 1—4. PIW s. 315+291+418+424, cena 100 zł.

Cztery powieści z cyklu „RZEKA KŁAMSTWA", pióra znanej autorki piszącej dla dorosłych i dzieci. Połączone postacią bohaterki dają pewien wycinek z dziejów narodu, a przede wszystkim robotniczego świata pierwszych dziesiątków lat XX wieku.

Krzysztof Baranowski: KAPITAN KUK. Iskry s. 263, cena 24 zł.

Ciekawie ilustrowana książka z serii „Naokoło świata". Opowiada o wyprawie jachtu „Śmiały" dokoła Ameryki Południowej. Pokazuje, na czym polegał sukces polskiego żeglarstwa w osiągnięciach wyprawy przydatnych nauce. Ukazuje też tę wyprawę, jako wielką przygodę.

Arkady Fiedler: SPOTKAŁEM SZCZĘŚLIWYCH INDIAN. Iskry s. 239, cena 35 zł.

Znów wspaniała przygoda w Brazylii. Barwne opisy krajoznawcze i obyczajowe. Ciekawe ilustracje.

W. H. G. Kingston: DWUKROTNIE ZAGINIONY. Przeł. Leonid Teliga. Wyd. Łódzkie s. 283, cena 25 zł.

Jeszcze jedna powieść przygodowa dla młodzieży. Opis pełnej pasjonujących zdarzeń podróży po Oceanie Atlantyckim i Wielkim, wzdłuż brzegów Afryki, Ameryki Południowej i Australii.

Edward Kopczyński: KŁUSOWNIK CHODZI NOCĄ. Wyd. Łódzkie s. 159, cena 16 zł.

Powieść dla młodych czytelników. O lesie, urokach polowania i walce z kłusownictwem.

Bengt Danielsson: BUMERANG. Iskry s. 277, cena 18 zł.

Książka z serii „Świat się zmienia", przełożona z francuskiego. Ukazuje wyprawę do Australii i poznawane dzięki niej problemy tej części świata. Ilustracje.

Jerzy Putrament: BYĆ SOBĄ. KiW s. 138, cena 8 zł.

Tomik 10 szkiców o tematyce literackiej, politycznej, społecznej i socjologicznej. Tematycznie tkwi mocno we współczesności.

WARSZAWSKIE WIECZORY LITERACKIE. Oprac. Olgierd Budrewicz i inni. Iskry s. 312, cena 20 zł.

Stołeczna Estrada realizowała programy pod tym tytułem (20), przekazując warszawiakom wiedzę o ich mieście, jego historii, tradycjach kulturalnych itp. Ich powodzenie zadecydowało o wydaniu tej książki. Prezentowanych tu jest 6 Wieczorów Literackich. Dla wszystkich, którzy lubią Warszawę.

ŻEBY POLSKA KRAINA PO SPRAWIEDLIWOŚCI ZAKWITŁA. Wieczór literacki poświęcony twórczości Stefana Żeromskiego. Iskry s. 153, cena 10 zł.

MNIE TA ZIEMIA OD INNYCH DROŻSZA. Wieczory literackie dla zespołów amatorskich. Oprac. Ryszarda Hanin i Andrzej W. Piotrowski. Iskry s. 227, cena 12 zł.

Oprócz słowa wstępnego zawiera trzy opracowania: Wieczór I: Lata się nie liczą. Wieczór II: Pieśń o kraju. Wieczór III: Warszawski dzień.

Nowości Wydawnictwa Morskiego:

Andrzej Januszajtis, Zbigniew Jujka: Z UŚMIECHEM PRZEZ GDAŃSK. s. 290, cena 40 zł. Ilustracje.

Eugeniusz Koczorowski: BITWA POD OLIWĄ. s. 187, cena 30 zł. Ilustracje.

Kartki dla Ewy

Cocktail

Cały grudzień jak świąteczny cocktail: porządki, zakupy, prezenty duże i małe, krawcowa, pieczenie ciasta, fryzjer, choinka. Potem jesteśmy okropnie zmęczone i rade uciec na koniec świata. Zostajemy jednak w domu, gdyż wycieczki w nieznane zwykle trudne są do zrealizowania. Zapraszamy gości, odwiedzamy znajomych — składamy sobie życzenia: szczęścia, zdrowia, kupy forsy i w ogóle „Dosiego roku". Co znaczy „dosiego" nikt nie wie, słowo jest jednak w powszechnym użyciu. Widocznie tak swojsko brzmi. Z „dosiem" mają kłopoty poloniści i etymologowie, ale nawet sławny pan profesor Szober nie umieścił „dosia" w Słowniku Poprawnej Polszczyzny. „Doś" nadal kokietuje nas z wszystkich wystaw sklepowych i widokówek od znajomych.

Wielkie świąteczne okazje są zawsze trochę smutne. Liczy się lata i siwych włosów przybyło, ale zrealizowaliśmy trochę naszych planów, dzieci rosną. Były lata chude i tłuste. Każdy okres w życiu człowieka ma swoje uroki. Sztuki życia uczymy się nie tylko w szkole, ale na co dzień przez wiele, wiele dni. Źle żyć z horyzontem nie dalej niż czubek nosa, niedobrze też bujać w obłokach. Rzymianie cenili złoty środek, człowiek współczesny myśli podobnie — mierzą go skrajności, zapomina jednak często o poczuciu humoru i optymizmie. A uśmiech potrzebny jest w życiu tak jak chleb, sól, powietrze..

Obywatel XX wieku lubi ględzić, widzi świat w czarnych barwach. Żywi się psychotropami i alkoholem, grzeszy nadmiernym sceptycyzmem. Nawet na zdobycze nauki macha ręką twierdząc, że go nie dotyczą. Tymczasem nigdy nie wiadomo co się może zdarzyć. Warto żyć długie lata, by zaspokoić ciekawość rzeczy przyszłych, tym bardziej że sfera fantazji z dnia na dzień staje się rzeczywistością.

Pesymiści np. biadają nad przyjściem nowej epoki lodowcowej, nic nie wiedząc o tym, że autorytety naukowe ZSRR, Kanady i USA chcą przegrodzić tamą Cieśninę Beringa. Jeśli projekt wejdzie w stadium realizacji, to na Grenlandii zakwitną drzewa owocowe, tundra będzie polem uprawnym. Nasz chłodny i deszczowy Bałtyk zyska aurę śródziemnomorską, wyrosną gaje pomarańczowe i być może plantacje kawy. Odpadnie ciułanie groszy na wojaże do ciepłych kurortów, gdyż dojedzie się tam nawet autostopem.

W ZSRR koszt inwestycji obliczono na około 70 miliardów rubli. Nie jest to suma aż tak zawrotna, zważywszy, że na zbrojenia ludzkość według danych UNESCO wydaje rocznie przeszło dwa razy tyle dolarów. Tama w Cieśninie Beringa dałaby dochody już po kilku latach. Może więc w niedalekiej przyszłości ujrzymy Ziemie-staruszkę w nowej szacie. Inna sprawa, że pewnie znajdą się tacy, którym żal będzie pluchy i marcowych roztopów.

W gruncie rzeczy strasznie trudno ludziom dogodzić. Jeden chce to, drugi tamto, iście księżycowe bywają marzenia. Gdyby się wszystkie spełniły, powstałby wielki galimatias... Wtedy żegnaj słodka epoko cywilizacji!

A przecież nade wszystko cenimy życie, które nam przypadło w udziale. I nasze marzenia też są niewymyślne.

BEGA

FRANCISZEK LIPIŃSKI — sekretarz Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Rzeszowie. Ostatnio obchodził 40 lat pracy literackiej i 70 lat życia.

Rys. J. SIENKIEWICZ

ZDARZENIA TYGODNIA

W piątek, 20 grudnia odbyło się wspólne posiedzenie Komisji Kultury Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych oraz Komisji Kulturalno-Oświatowej ZW ZMS. W posiedzeniu wzięli również udział instruktorzy k.o. zarządów okręgowych poszczególnych związków branżowych.

Tematem obrad były główne kierunki pracy ideowo-wychowawczej i kulturalno-oświatowej związków zawodowych w 1969 r., która zakłada m. in. współpracę odpowiednich komisji ZMS i Zw. Zaw. Omówiono także działalność komisji kultury ZO, komisji k.o. RZ oraz rad społecznych placówek kulturalnych w oparciu o przeprowadzoną kontrolę.

* * *

Tuż przed rozpoczęciem ferii odbyła się w Rzeszowie narada przewodniczących powiatowych komisji do spraw dzieci i młodzieży.

Podczas obrad omówiono m. in. zadania, wynikające z wytycznych Prezydium WK FJN w sprawie dalszego rozwoju pracy ideowo-wychowawczej i opiekuńczej wśród dzieci i młodzieży. Zadania te sprowadzają się do następujących zagadnień: praca z rodzicami i opiekunami dzieci i młodzieży poprzez uniwersytety dla rodziców, pedagogizację rodziców i kształtowanie ich socjalistycznych postaw, współpracę szkoły z rodzicami, rozwijanie różnorodnych form działalności kulturalnej, oświatowej i sportowej, zapobieganie demoralizacji i przestępczości nieletnich.

Na naszym ekranie

Nowy film Cacoyannisa

Zjawisko eksportu talentów twórczych jest w wielu dziedzinach — w tym także w sztuce filmowej — zjawiskiem nienowym i z wielu względów pożytecznym. Jego ujemną stroną jest wielokotnie potwierdzony fakt, że niektórzy twórcy zdobywszy w ojczystym kraju zawodowe ostrogi, wiedzę i uznanie (także międzynarodowe — dla filmów zrealizowanych w ojczyźnie i z jej pomocą) po wyjeździe za granicę tworzą dzieła najzupełniej od gleby narodowej oderwane.

Jednym z nielicznych wyjątków od tej reguły jest grecki reżyser Michael Cacoynannis. Wykształcony w Anglii, związany w czasie wojny z BBC, a w latach powojennych z teatrami londyńskimi, z Hollywood, ze scenami Paryża — stał się jednym z czołowych reżyserów kinematografii greckiej na nowo odkrywając w swych filmach przed światem ten wspaniały, piękny kraj i jego ludzi. „Niedzielne przebudzenie", „Dziewczyna w czerni", „Stella" — już te pierwsze filmy przyniosły mu uznanie widowni i krytyki, które przerodziło się w entuzjazm po ukazaniu się na ekranach „Elektry" i „Greka Zorby". Ten ostatni film był zrealizowany wspólnie z Amerykanami, a jednak jest filmem greckim, podobnie jak grecki jest najnowszy film Cacoyannisa (w koprodukcji z Anglikami) — „Dzień w którym wypłynęła ryba", wchodzący w tych dniach na nasze ekrany.

Film ten stanowi novum w twórczości reżysera. Jest jego pierwszym filmem barwnym, a zarazem odejściem od dramatu w czystej formie, jaki dotychczas uprawiał Cacoyannis.

Zapowiedzi traktują „Dzień, w którym wypłynęła ryba", jako komedię satyryczną. Nie jest to chyba określenie słuszne. Mimo wielu elementów satyry, mimo niewątpliwie komediowego charakteru utworu, jest to raczej tragikomedia, tak silne bowiem są w nim pierwiastki grozy i dramatu.

Film osnuty jest na tle autentycznego przypadku zgubienia przez samolot US Air Forces bomb nuklearnych w Palomares u wybrzeży Hiszpanii. Cacoyannis przeniósł akcję na jedną z wysepek greckich, bo przecież i one znajdują się pod atomowym „parasolem" NATO.

— „Uwzględniłem również — oświadczył reżyser w wywiadzie prasowym — wydarzenia, o których czytałem w greckich gazetach. Dwaj pasterze widzieli w różnych punktach wyspy spadający do morza samolot. Prasa natychmiast zdementowała tę wiadomość, ale podobny fakt zdarzył się także w Turcji. Zastanowiło mnie to. Zadałem sobie pytanie: kto tu kłamie?".

Tak właśnie zaczyna się film. Wyrzucane atomowe ładunki, spadający do morza samolot, pasterz zawiadamiający policję, alarm w wojskowych sztabach i ich decyzja: nie przyznawać się do niczego, a jednocześnie w największej tajemnicy przed opinią publiczną rozpocząć poszukiwania ładunku.

I tu zaczyna się zabawa. Oddział komandosów, mających odnaleźć bomby, przebiera się w cywilne, turystyczne ciuchy i jako grupa ekspertów poszukujących terenów pod przyszłe ośrodki wypoczynkowe i hotele nadmorskie przybywa na zapomnianą przez Boga i ludzi maleńką wyspę Kharos.

Środki nie grają roli, byle tylko wykonać zadanie bez zaalarmowania społeczeństwa, więc komandosi wykupują za grube pieniądze skalistą ziemię od biednych mieszkańców wioski, wynajmują ich do prac ziemnych. Entuzjazm ogarnia tubylców. Przecież i u nich zacznie się coś dziać! Przyszłość zarysowała się w barwnych kolorach.

Wieść o nowym wczasowisku roznosi się w świat. Do wyspy podpływają nieskazitelnie białe statki floty turystycznej. Do brzegu dobijają szalupy z setkami ludzi spragnionych zabawy i nadmorskich uciech. Piękne dziewczyny w fantastycznych kieckach i smukli, opaleni chłopcy ruszają w tany na ulicach i w lokalach. Rozpoczyna się szał letniego karnawału (przy świetnej muzyce Mikisa Theodorakisa!).

W tej euforii, w przerwach między powszechną zabawą, komandosi prowadzą pilnie — ale z przygodami — swoje poszukiwania, trwa dramatyczna akcja, zaangażowane są najnowocześniejsze środki techniczne i wysiłek kilkudziesięciu ludzi.

Bawimy się i śmiejemy przez 90 procent czasu trwania projekcji. W zabawie tej zapominamy o pierwszych groźnych scenach filmu, kiedy z uszkodzonego samolotu lecą na skały i w wodę śmiedcionośne ładunki, a maszyna spada do morza. Dopiero finał filmu przynosi nastrój grozy, przypomina, że chodzi o coś poważniejszego, coś co może zniszczyć i rozbawiony tłum turystów, i uszczęśliwionych mieszkańców wioski. I nie tylko ich. Komedia przechodzi w tragedię, której nic nie może odwrócić.

W odróżnieniu od poprzednich filmów Cacoyannisa, w których błyszczały silne indywidualności aktorskie (Irena Papas w „Elektrze", Anthony Quinn czy Lila Kedorova w „Zorbie") „Dzień, w którym wypłynęła ryba" nie ma w zasadzie takich pierwszoplanowych postaci. Autor zestawia tu pewne zbiorowości, pewne grupy bohaterów (turyści, komandosi, załoga samolotu, mieszkańcy wyspy), jeżeli wyodrębnia pewne postacie, to nie rysuje ich pełniej. Stąd wiele scen zbiorowych, akcji z dziesiątkami ludzi.

Niestety, sceny te nazbyt zafrapowały twórcę, podobnie jak kolor (któremu poświęcił wiele uwagi, a który stwarza nastrój zbyt pogodny). Toteż widowiska — efektowne i barwne — mącą czasem akcję, naruszają zwartość filmu, odwracają uwagę widza od zasadniczych wątków. Powoduje to dysproporcje czynnika komediowego i tragicznego, a w konsekwencji osłabienie ogólnej wymowy filmu.

Piszącemu te słowa wydaje się, że poświęcona podobnym sprawom średniometrażówka Tadeusza Makarczyńskiego „Życie jest piękne" wywiera bardziej wstrząsające wrażenie i budzi ostrzejszy protest przeciwko groźbie nuklearnej zagłady, niż dwugodzinny film Cacoyannisa.

Być może jednak w warunkach świata kapitalistycznego, właśnie taki film jak „Dzień, w którym wypłynęła ryba" ma szansę dotarcia do masowego widza i bez rezygnacji z walorów rozrywkowych zmuszenia go do zastanowienia się nad groźbą, jaka nad nim zawisła.

DZIEŃ, W KTÓRYM WYPŁYNĘŁA RYBA — film produkcji grecko-angielskiej. Reżyseria: Michael Cacoyannis. Zdjęcia: Walter Lassall. Muzyka: Mikis Theodorakis. Choreografia: Arthur Mithell. Grają: Tom Courtenay, Colin Blakexly, Sam Wanamaker, Candice Bergen, Ian Ogilvy, Patricia Burke, Dimitros Nicolaidis, Tom Klunis i inni.